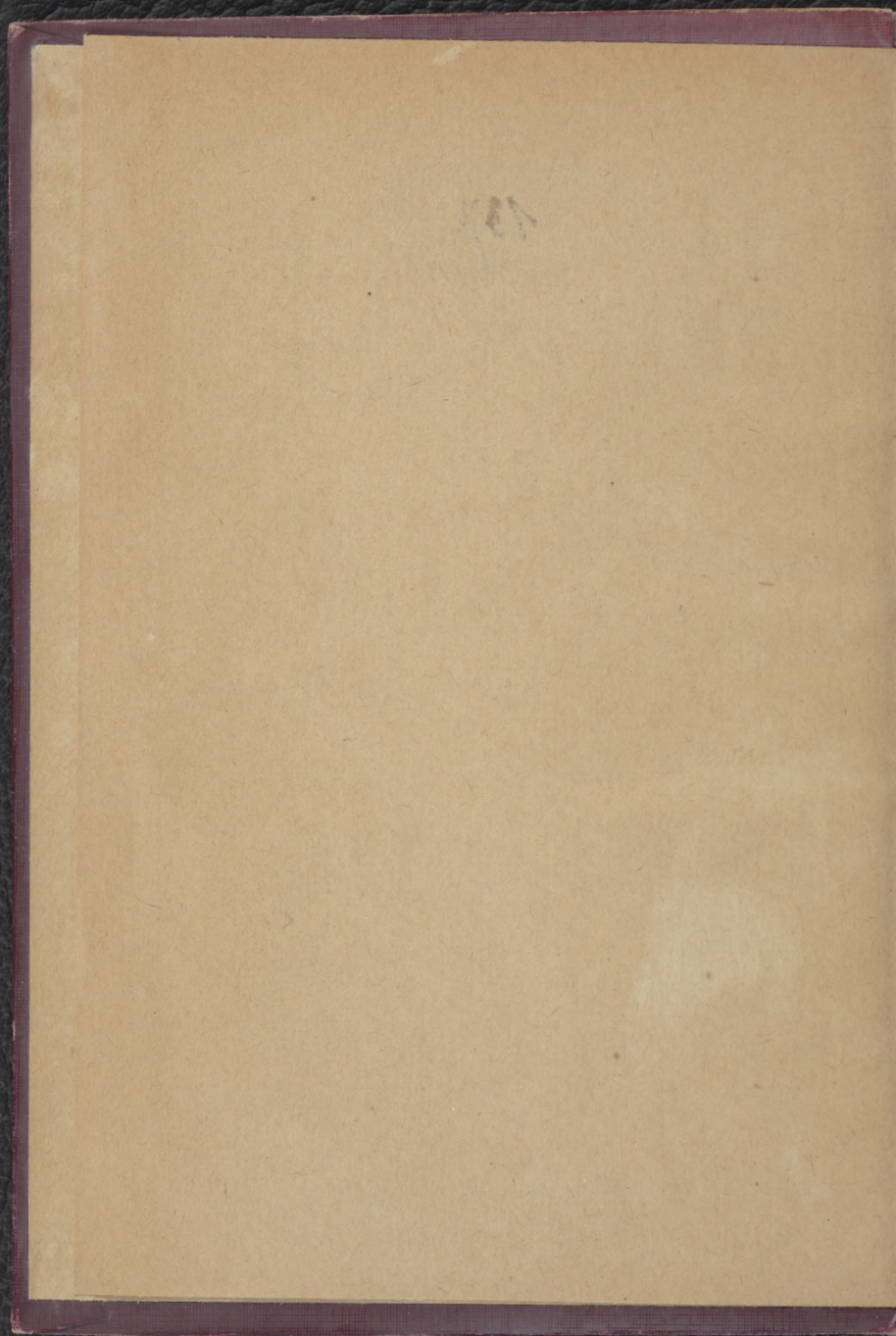


I 335.684

KSIĄŻNICA
№ 437
Edmunda Trawczyńskiego



BIBLIOTEKA
DZIEŁ WYBOROWYCH

701

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
Wydawnictwo tygodniowe

Redaktor i Wydawca
Feliks Gadomski

Rok 1926. Tom 47.

Ogólnego zbioru serja III, tom 112.

Cena tomu w prenumeracie:
w oprawie . . zł. 1.39

Cena tomu poza prenumeratą:
w oprawie . . zł. 2.20

Redakcja i Administracja:
Warszawa, Sienkiewicza 12

KSIAZHNICA
Edmunda Trautzyńskiego
№ 137

SELMA LAGERLÖF

LAUREATKA NOBLA

KRÓLOWE KUNGACHELLI

WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH
WARSZAWA, SIENKIEWICZA, 12.

PRINTED IN POLAND
COPYRIGHT BY
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH



1335.684



Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska”, Szpitalna 12.

1965 K690/18

TAM GDZIE ISTNIAŁA WIELKA KUNGACHELLA

Jeśli ktokolwiek, nasłuchawszy się opowiadań o starożytnej Kungachelli, uda się do miejscowości nad rzeką Nordre, gdzie niegdyś istniało to miasto, będzie naturalnie zdumiony. Postawi wtedy sobie pytanie, czy możliwym jest, by kościoły i zamki zniknęły jak śnieg, albo czy może rozwarła się i pochłonęła je ziemia. Za dawnych czasów znajdowało się tutaj potężne miasto, a obecnie nie widać ani ulicy, ani przystani. Niema też ruin lub pogorzeliiska. Zobaczy jedynie tylko dwór, otoczony zielonością i czerwonymi śpichrzami. A wokoło — łąki i pola, które z roku na rok żłobi pług, nie napotykając nigdy ani murów, ani kamiennych ogrodzeń.

Rozumie się, że przedewszystkiem pójdzie wzdłuż brzeżu rzeki. Nie będzie, naturalnie, wypatrywał tam wielkich okrętów, udających się do portów morza wschodniego, lub dalekiej Hiszpanji, ale prawdopodobnie ma nadzieję znalezienia śladów dawnych warsztatów okrętowych, olbrzymich doków i portów.

Myśli, że zobaczy resztki zwalisk wielkich pieców do warzenia soli, chce spojrzeć na wydeptany bruk tych ulic, które wiodły do portu. Pyta, gdzie się znajduje niemiecka i gdzie szwedzka przystań, chce widzieć przystań płaczek, gdzie kobiety Kungachelli żegnały swych mężów i synów, udających się w dalekie podróże. Ale na wybrzeżu ujrzy tylko szumiące trzciny. Zobaczy również wyboistą drogę, wiodącą do brodu, a przy brzegu kilka przywiązanych łodzi i mały prom, który przewozi wóz chłopski do Chisingenu. Lecz po rzece nie płyną wielkie okręty, nie widać również szczątków rozbitych statków, gnijących na dnie rzeki.

Możliwe, że nie znalazłszy nic ciekawego w porcie, uda się na poszukiwanie słynnej Góry Klasztornej, chcąc zobaczyć przynajmniej ślady otaczających ją niegdyś fortów i wałów, chciałby zobaczyć wysoki zamek i długie zabudowania klasztorne. Ma nadzieję znalezienia chociażby ruin wspaniałego kościoła św. Krzyża, gdzie przechowywano cudowny krzyż, wywieziony z Jerozolimy. Myśli o licznych zabytkach, znajdujących się na świętych górach, które się piętrzą nad innymi, starożytnymi miastami i serce mu bije w radośnem oczekiwaniu. Lecz kiedy dochodzi do siwego szczytu, który odgradza pola, nie znajduje nic prócz szumiących drzew. Niema ani murów, ani baszt, ani sklepień z gotyckimi oknami. Pod drzewami widzi ogrodowe kanapki i fotele, lecz ani śladu klasztornego podwórza z kolumnadą, lub pięknych grobowców.

Nie znalazłszy i tutaj nic zgoła, uda się może —

na poszukiwanie starożytnego, królewskiego pałacu. Przypomni sobie ogromne sale, dzięki którym Kungachella otrzymała swą nazwę*). Może istnieją jeszcze grube, belkowane ściany i głębokie piwnice pod wielką salą, w której królowie norwescy urządzali uczy. Myśli o zielonych łąkach, na których królowie ujeżdżali konie srebrem kute, a królowe doily krowy o złożonych rogach. Myśli o wyżce, gdzie mieszkały dziewoje, o pralni z ogromnymi kotłami, o wielkiej kuchni, w której do rondla kładziono odrazu połowę wołowej tuszy, a na rożnie pieczono całego wieprza. Myśli o izbach czeladnych, śpizarniach i zakamarkach, stłoczonych dokoła dziedzińca. Wszystkie budowle ozdobione są głowami smoków, które z biegiem czasu mchem naturalnie porosły.

Lecz kiedy zapyta o stary pałac królewski — zaprowadzą go do dworu z oszkloną werandą i ogrodem zimowym. Wysokie ławki znikły w ten sam sposób, jak i w srebro oprawne rogi do wina i skórzane tarcze. Nie będą mogli mu nawet pokazać pochylego, pokrytego strzyżoną trawą dziedzińca z wązkiemi ścieżkami, wydeptanemi w czarnej, urodzajnej glebie. Zobaczy grządki poziomek, klomby róż, wesołe dzieci i młode dziewczęta, bawiące się w cieniu grusz i jabłoni. Lecz nie ujrzy ani turniejów, ani rycerzy, grających w serso.

Może zapyta o dąb na placu, gdzie król sprawował sądy i gdzie znajdowało się dwanaście głązów dla sędziów. Albo może o główną ulicę, która według

*) Kungachella oznacza „komnaty królewskie“.

tradycji ciągnęła się na przestrzeni mili? Albo może o rozrzucone w ciemnych uliczkach domy najstłynniejszych kupców, z których każdy posiadał własne łodzie i przystań na rzece? A może o kościół Marji Panny, gdzie podróżni składali w darze maleńkie, poświęcane okręciki, a smutni — srebrne serduszka?

Lecz nikt mu tego pokazać nie może. Krowy i owce pasą się na miejscu dawnej, długiej ulicy, na placu dojrzewa żyto i pszenica, a tam, gdzie onego czasu tłoczył się lud przy ponętnych kramach z towarami — wybudowano stajnie i śpichrze.

Naturalnie zasmuci go to bardzo.

— Czy rzeczywiście nic nie pozostało? — zapyta. — Czy rzeczywiście niema nawet na co spojrzeć?

Pomyśli wtedy może, że go oszukano i zdecyduje, że Wielka Kungachella znajdowała się nie tutaj, a w innym miejscu.

Wtedy zaprowadzą go na brzeg rzeki i pokażą grubo ciosaną, kamienną płytę, zeszkrobując z niej srebrno-szary mech, by zobaczyć rzniete w kamieniu figury.

Z początku nie będzie mógł zrozumieć, co oznaczają, będą dlań również zagadkowe, jak plamy na księżycu. Lecz będą go upewniali, że jest to okręt i jeleń i że rysunek ten wryto na pamiątkę założenia miasta. A ponieważ i tak nie potrafi tego pojąć — opowiedzą mu historję tego rysunku.

KRÓLOWA LASU

Marek Antonjusz Poppjusz był szanowanym kupcem rzymskim. Prowadził handel z dalekimi krajami i z Ostji wysyłał ładowne okręty do Hiszpanji, na wyspy Brytyjskie, a nawet na północne wybrzeże Germanji. Szczęście mu sprzyjało: zebrał niezliczone bogactwa i cieszył się, że je pozostawi swemu jedyńemu synowi. Syn jednak nie odziedziczył zalet swego ojca. Ach, cały świat wie o tem, co znaczy być jedynym synem bogatego człowieka! Czy trzeba tutaj coś dodać? Jest to przecież stara historia.

Można pomyśleć, że bogowie dają umyślnie ludziom bogatym ograniczonych, lekkomyślnych, bezbarwnych, głupich i apatycznych spadkobierców, by ich przekonać do jakiego stopnia jest głupiem gromadzenie bogactw. Kiedy nareszcie ludziom otworzą się oczy? Kiedy zaczną zwracać uwagę na przestrogi bogów?

Młody Sylwjuusz Antonjusz Poppjusz, mając lat dwadzieścia, zakosztował już wszystkich rozkoszy życia. Lubił czasem napomknąć, że sprzykrzyło mu

się już wszystko, lecz mimo to starannie oddawał się przyjemnościom, a nawet pograżył się w zupełnej rozpaczy, gdy zauważył, że od niejakiemu czasu przesładować go zaczęły niepowodzenia, tworząc przeszkody w jego wesołym życiu.

W przeddzień słynnych, dorocznych wyścigów okulały jego numidyjskie konie, tajemnicze przygody miłosne zostały odkryte, na malarzę zmarł nieoceniony kucharz. Młody Poppjusz czuł się tak nieszczęśliwym, że zdecydował skończyć samobójstwem. Sądził, zdaje się, że jest to najlepszy sposób prześlągnięcia bogów niepowodzenia, które przesładowując go, zmieniały mu życie w torturę.

Można zrozumieć człowieka nieszczęśliwego, który kończy samobójstwem, chcąc uciec od przesładowających go ludzi, lecz tylko taki głupiec, jak Sylwjusz Antonjusz mógł wybrać tę drogę, by zniknąć przed bogami. Mimo woli przypomina się znana bajka o człowieku, który chcąc się ukryć przed lwem, skończył wprost w jego otwartą paszczę.

Młody Poppjusz miał zbyt słaby charakter, by zdecydować się na śmierć od miecza. Nie chciał również umierać od małych trucizny. Po długich namysłach wybrał lekki rodzaj śmierci — w falach. Lecz kiedy stanął nad Tybrem z zamiarem utopienia się, zabrakło mu odwagi, by pograżyć swe ciało w brudnej i mętnej wodzie rzecznej. Nagle ogarnęło go wielkie, święte pragnienie, właściwe wszystkim tułaczom: chciał ujrzeć morze.

Chcę umrzeć w przezroczyście-błękitnym morzu,

gdzie promienie słońca przenikają aż do dna, — myślał Sylwusz Antonjusz. Ciało moje będzie spoczywało na łożu z czerwonych koralu. I kiedy będę pogrążał się w wodzie — na powierzchni ukaże się śnieżna, chłodna piana a nie cuchnące pęcherze, jak na rzece.

Wrócił do domu, kazał zaprząć konie i natychmiast wyjechał do Ostji. Wiedział, że jeden z okrętów jego ojca wyruszy niedługo na morze. Młody Poppjusz popędził konie z całej siły i udało mu się dojechać na miejsce w chwili, gdy podnoszono kotwicę. Nie wziął z sobą, naturalnie, żadnych rzeczy, żadnego bagażu. Nie zapytał nawet sternika, w którą udają się stronę. W każdym razie wypłyną na morze, a to mu przecież było potrzebne.

W krótkim czasie młody Poppjusz osiągnął swój cel. Trierą wypłynęła z ujścia Tybru i przed nimi rozpostarło się Śródziemne morze, szafirowe, pienne, migoczące w słońcu. Widok morza przypomniał Sylwuszowi Antonjuszowi słowa poetów, że mieniąca się woda, jest tylko cienką tkaniną, rzuconą na najpiękniejszy świat. Mimowoli wierzył podaniu, że kto śmiało przedrze się przez całun wodny, dostanie się natychmiast do promienistego pałacu króla mórz. Młody człowiek cieszył się, że wybrał ten rodzaj śmierci. Faktycznie trudno było uwierzyć, że cudowna woda może zgubić człowieka. Czy to jest śmierć? To tylko najkrótsza droga do tego świata, gdzie niema fałszywych uciech, po których zostaje tylko przesyty i niesmak.

Z trudnością zdołał zapanować nad swoim zachwytem. Na statku znajdowali się przecież marynarze. Sylwjusz Antonjusz zdawał sobie sprawę, że chwila nie jest odpowiednią; nie zdąży wskoczyć do wody, gdy zręczny jakiś marynarz rzuci się za nim i wciągnie na pokład.

Tymczasem rozpięli żagle i zgodnie zaczęli wioślować. Sternik podszedł do niego i powiedział z wyszukaną grzecznością:

— Jedziesz więc ze mną do kraju Germanów, kochany Sylwjuszu? Jest to wielkim zaszczytem dla mnie!

Młody Poppjusz przypomniał sobie, że człowiek ten nigdy nie wracał z podróży bez jakiegokolwiek upominku. Przywoził mu z krajów barbarzyńskich albo drewniane pałeczki, zapomocą których dzicy krzesali ogień, albo duży róg, używany przez nich do picia, albo naszyjnik z kłów niedźwiedzia, noszony jako ozdoba przez wielkiego wodza.

Dobry ten człowiek promieniał z radości, że wiezie syna swego chlebodawcy. Wysłanie syna w dalekie kraje zamiast pozostawienie go w towarzystwie rzymskiej młodzieży, od której można się nauczyć tylko rozpasania — uważał za mądry krok ze strony starego Poppjusza.

Młody Poppjusz nie wtajemniczył sternika w swoje plany. Obawiał się, że natychmiast odstawionoby go do domu, jeśliby się zdradził.

— Naturalnie, Halenie, — odpowiedział. Bardzobym pragnął ci towarzyszyć, lecz muszę cię prosić,

byś mi pozwolił wylądować w Baji. Zdecydowałem się za późno. Jak widzisz, brak mi rzeczy, i pieniędzy.

Halen jednakże starał się go przekonać, że z powodu takiego głupstwa nie warto rezygnować z podróży. Czyż nie znajduje się na doskonale zaopatrzonym okręcie swego ojca? Nie zabraknie mu ani ciepłego futra w razie złej pogody, ani lekkiego ubrania z syberyjskich tkanin, które nakładają zazwyczaj marynarze, kiedy w czasie ładnej pogody płyną przez znany archipelag.

W trzy miesiące po wypłynięciu z Ostji triera Halena płynęła między skalistymi wysepkami. Ani sternik, ani nikt z załogi nie wiedział, gdzie się właściwie znajdują, lecz byli zadowoleni, mogąc się schronić przed burzą, która szalała na otwartym morzu.

Sylwusz Antonjusz miał — zdaje się — rację, twierdząc, że prześladują go bogowie. Nikt z pomiędzy obecnych na okręcie nie pamiętał podobnej podróży. Nieszczęśliwi marynarze szeptali pomiędzy sobą, że odkąd wyjechali z Ostji, nie mieli pogody nawet w ciągu dwóch dni zrzędu. Burza następowała po burzy. Musieli znosić nieprawdopodobne braki. Cierpieli z powodu pragnienia i głodu, a równocześnie zmęczeni, zupełnie chorzy od bezsennych nocy nie mogli porzucić wiosel i żagli.

Pośród marynarzy wzrastało niezadowolenie, wywołane niemożliwością prowadzenia handlu. Czy podczas takiej pogody można było przybić do brzegu, wylądować towary i rozpocząć handel zamienny?



Lecz niedość na tem. Kiedy podczas deszczu i mgły ukazywały się kontury jakiegoś łądu, musieli spieszyć na otwarte morze z obawy rozbicia się o skały. Pewnego razu, kiedy w nocy najechali na rafę podwodną, musieli wrzucić w morze połowę ładunku. O drugiej połowie bali się nawet myśleć, gdyż byli prawie pewni, że nie ocaleje po tych wszystkich wypadkach.

Widocznie Sylwusz Antonjusz nie przyniósł marynarzom szczęścia. Żył jeszcze i jeszcze dotąd się nie utopił. Przecież życie jego nie stało się piękniejsze od chwili, gdy postanowił je zakończyć. Być może liczył na to, że morze samo nim zawładnie. Możliwym jest również, że rozgniewane fale nie podobały mu się więcej i wolał umrzeć w pachnącej, zielonkawej wodzie swej marmurowej wanny.

Lecz gdyby Halen i jego towarzysze podejrzewali w jakim celu przyłączył się do nich młody Popjusz, żałowałiby gorzko, że nie wykonał swego zamiaru, gdyż wszyscy byli przekonani, że przyniósł im nieszczęście. Często w czasie ciemnych nocy Halen obawiał się, że marynarze pochwycą syna chlebobdawcy i wrzucą w morze. Niejednemu z nich majaczyło się w czasie strasznej burzy, że z wody wysuwają się czarne ręce, starając się zaczepić o okręt. Jednak marynarze nie mogli się zdecydować na ciągnięcie losów, by się dowiedzieć, kogo z pośród nich chciały te ręce pociągnąć w odmęty. Lecz i sternik i marynarze oddawali sprawiedliwość Sylwuszowi Antonjuszowi, przypuszczając, że burze przesysały atmosferę i kłębiły morze tylko z jego powodu.

Gdyby Sylwiusz Antoniusz zachowywał się w czasie tych ciężkich dni, jak na mężczyznę przystało, gdyby dzielił z nim pracę i niepokój — współtowarzysze mieliby dla niego prawdopodobnie pewne współczucie, jako dla nieszczęśliwego, który ściągnął na siebie gniew bogów. Lecz młody rzymianin nie starał się wzbudzić współczucia. Myślał jedynie o tem, jak schronić się przed wiatrem, rozkazując dostarczać sobie z ładunku przeróżne futra i kołdry, by zabezpieczyć się od zimna.

Jednakże wszelkie szemrania z powodu jego obecności przycichły momentalnie z chwilą, gdy wiatr przestał szaleć, zapędziwszy trierę ku skalistym wypom. Stał się jak pies owczarski, który milknie widząc, że pastuch kieruje stado ku zagrodzie. Rozproszyły się ołowiane chmury, zabłysło słońce. Po raz pierwszy za cały czas podróży marynarze poczuli błogosławieństwo lata.

Przemęczeni ci ludzie omal, że nie szaleli pod wpływem słońca i ciepła. Zamiast położyć się i zasnąć, cieszyli się jak dzieci. Nadzieja znowu dodawała im skrzydeł. Byli pewni, że za szeregiem skalistych wysepek ukaże im się ład stały. Liczyli na to, że będą tam ludzie i kto wie — na nieznanem wybrzeżu, dokąd wątpliwe czy już kiedykolwiek dopłynął jakiś rzymski okręt, można będzie znaleźć dobry zbył na towary? Być może uda im się nareszcie dogodna wymiana i naładują okręt niedźwiedziami i reniferowemi skórami, bryłami białego wosku i złocistym bursztynem.

Podczas gdy triera lawirowała między wyspami, które stawały się coraz wyższe i bogatsze w zieloność, marynarze zaczęli przystrajać okręt, by zwrócić na siebie uwagę dzikusów. Okręt, będący sam przez się najcudowniejszym dziełem człowieka, wkrótce mknął po falach, rywalizując wspaniałością z najbarwniejszymi ptakami. Niedawno jeszcze był uszkodzony przez burzę, a teraz na maszcie jaśniał złoty szpic i zwisał precudny żagiel z purpurowym brzegiem. Na przodzie okrętu wznosił się wspaniały posąg Neptuna, a z tyłu ustawiono namiot z różnokolorowych, jedwabnych tkanin. I doprawdy, marynarze nie omieszkali przewiesić przez burty dywany, których frendzle dotykały wody i owinać ciężkie wiosła złotym galonem.

Sami również nie pozostali w strojach podróży, które pod wpływem niepogody i wody morskiej rozlatywały się w strzępy. Nałożyli białe szaty, opasując się czerwonymi szarfami, a włosy ujęli w błyszczące obręcze.

Nawet Sylwjusz Antonjusz otrząsnął się z lenistwa. Jak gdyby cieszył się nawet, że może się zająć czemś dostępnem i dla niego. Kazał się ogolić, ostrzyć i natrzeć wonnościami. Nałożył potem długą tunikę, na plecy zarzucił togę, przepasał szeroką złotą obręczą i z wielkiej skrzyni z klejnotami, którą Halen otworzył dla niego, wyjął kilka pierścieni, bransolet, naszyjników i złoty pas. Kiedy był gotów, odrzucił purpurowe zasłony jedwabnego namiotu i leż u wejścia na

nizkim łożu, by mieszkańcy wybrzeża mogli go zauważyć odrazu.

W czasie tych przygotowań okręt posunął się przez cieśniny, które stawały się coraz węższe i węższe. Marynarze zauważyli nareszcie, że znaleźli się w ujściu rzeki i płyną po słodkiej wodzie. Z obu stron okrętu rozpościerał się ląd.

Triera posuwała się wolno po błyszczącej rzece. Pogoda była wspaniała, w przyrodzie spokój. A jak ożywiał osamotnioną pustkę wspaniały okręt handlowy!

Brzegi rzeki pokryte były wysokim, nieprzebytym, dziewiczym lasem. Drzewa iglaste wysuwały swe ciemne sylwetki aż do samej wody. Rzeka, trwając w wieczystym ruchu, wrywała ziemię między korzeniami. Marynarzy zdumiewały nie tylko odwieczne drzewa, lecz jeszcze bardziej ogołoczone korzenie, podobne do olbrzymich rąk. Tutaj — myśleli nigdy nie uda się ludziom stworzyć orne pola, nie będzie nigdy miejsca na miasto, a nawet wioskę. Cała ziemia wokoło pokryta jest siecią żelaznych korzeni. I to jedno jest wystarczającym, by siła lasu pozostała wieczną, niezachwianą.

Nad rzeką drzewa rosły gęsto, korzenie ich były splecione tworzyły nieprzeniknioną zaporę. Zapora ta z kołającego igliwia była tak wysoką i mocną, że niejedno obronne miasto nie pragnęłoby lepszej osłony.

Jednakże w iglastym murze było widać gdzieś szczeliny. Do nich zbiegały się ścieżki, któremi zwierzęta chodziły pieć w głąb lasu. Nic podobnego

nie widzieli dotąd w życiu. W ciemnej głębinie rosły drzewa, których pnie były grubsze od rzymskich baszt obronnych. W tej zbitej masie drzewa wydierały sobie wzajemnie powietrze i światło. Drzewo opierało się o drzewo, walczyło z niem, gięło. Jedno owijało korzeniami sęki drugiego. Współzawodniczyły i walczyły, jak ludzie.

Marynarze przypuszczali, że zwierzęta i ludzie, zamieszkujący te lasy muszą posiadać jakieś specjalne, nieznanne rzymianom obyczaje. Przecież od góry do dołu las tworzył zbitą masę gałęzi. Zwieszały się z nich kiście srebrzystego mchu, nadające drzewom wygląd włochatych i brodatych czarowników. A pod niemi ziemia pokryta była gnijącymi pniami i nogi zapadały w próchno, jak w topniejący śnieg.

Las przesycony był aromatem, który wszystkim na okręcie wydał się przyjemnym i odurzającym. Był to silny zapach żywicy i miodu dzikich pszczół, z zapachem gnijących drzew i ogromnych, żółtych i czerwonych grzybów.

Było w tem bezwarunkowo coś strasznego. A równocześnie przyroda w całej swej sile, nienaruszona ręką człowieka, przedstawia widok imponujący. Jeden z marynarzy zaczął nucić pieśń na cześć boga lasu i mimowoli podchwyciła ją cała załoga. Wszyscy jak gdyby przestali oczekiwać spotkania z ludźmi w tym dziewiczym lesie. Dusze pełne były świętego zachwytu. Myśleli o bogu lasu i jego nimfach. Mówili sobie, że Pan wygnany z lasów Hellady schronił się

na dalekiej północy. Z pobożnym śpiewem zagłębiali się w jego państwo.

W czasie każdej pauzy słyszeli cichą muzykę w lesie. Igliwie na szczytach drzew grało i śpiewało, drżąc od żaru południa. Marynarze coraz częściej przerywali śpiew, nadsłuchując, czy nie odezwie się flet samego Pana.

Okręt coraz wolniej posuwał się przy pomocy wiosel. Marynarze patrzyli na wodę, mieniającą się żółto-zielonymi, przy korzeniach zaś ciemno-fioletowymi błyskami. Zaglądali w wysokie, drżące i szeleszczące trzciny. Napięcie oczekiwania było tak wielkie, że dreszcz ich przejmował nawet na widok jakiegoś płynącego gniazda, lub białych, kwiatnych dzbanuszków, odbijających jaskrawo na ciemnym tle trzciny. I znów dźwięczał hymn:

„O, Panie, władco lasu!...

Przestali się już troszczyć o handel. Czuli, że znajdują się u wrót przybytku bogów. Troski ziemskie stały im się obce.

Nagle spostrzegli przed sobą jedną z wydeptanych przez zwierzęta ścieżek, na końcu której stał jelen, królewskie zwierzę z szerokim czołem i gęstiną rozłożystych rogów.

Na trierzce zapanowało święte milczenie. Wiosła, wzniesione nad wodą, zastygły w bezruchu. Sylwusz Antonjusz wstał ze swego porpurowego łóża.

Wszystkie oczy wpatrzone były w jelenia. Wydawało się, że dźwiga on coś na grzbiecie, lecz co —

nie można było rozróżnić z powodu leśnego półmroku i zwisających gałęzi.

Potężny jeleni stał długo i, podniósłszy głowę, węszył powietrze w kierunku galery. Wreszcie upewnił się widocznie, że niema tam wrogów. Wszedł w wodę i zrobił jeszcze jeden krok. Pomiędzy rozłożystymi rogami zamajaczyło coś jasnego, jaskrawego. Czyżby jeleni niośł na grzbiecie wiązanke dzikich róż?

Marynarze ostrożnie poruszyli kilkakrotnie wiosłami. Galera posuwała się na spotkanie jelenia. Jak gdyby z własnej woli zbliżała się do trzciny.

Jeleni powoli stapał w wodzie, ostrożnie zanurzając nogi, by nie ugrzęzły między korzeniami na dnie rzeki. Teraz poza rogami wyraźnie widać było twarzyczkę kobiecą, otoczoną jasnymi włosami. Jeleni dźwigał na grzbiecie jedną z tych nimf, o których marzyli i które pragnęli ujrzeć ludzie w tym dziewiczym lesie.

Załogę ogarnęła święta ekstaza. Jeden z marynarzy, rodem z Sycylii, przypomniał sobie hymn, który śpiewał w młodości, bawiąc się na kwiecistych równinach koło Syrakuz. Zaśpiewał więc:

„O Arefuzo, nimfo zrodzona wśród kwiatów,
Promyku księżycy na tle ciemnych lasów“

I kiedy zahartowani przez burze ludzie zrozumieli słowa, tłumiąc drżenie głosu, podchwycili pieśń:

„O Arefuzo, nimfo zrodzona wśród kwiatów...“

Kierowali statek coraz bliżej i bliżej brzegu, bez względu na to, że już dwa razy zaczepił o dno rzeki.

A młoda nimfa bawiła się w chowanego za rogami jelenia. To kryła się, to ukazywała znowu i nietylko nie powstrzymywała jelenia, lecz przynagłała do brnięcia w wodzie.

Kiedy jelenź zrobił jeszcze kilka kroków naprzód, pogłaskała go jak gdyby poto, by się zatrzymał. Pochyliła się i zerwała kilka dzbanuszków. Ludzie na statku spoglądali na siebie zmieszani. Nimfa zjawiła się tylko po białe kwiaty, które drżały na powierzchni wody, a nie z powodu przybycia rzymskich marynarzy!

Wtedy Sylwusz Antonjusz zdjął pierścień z palca i rzucił go nimfie, krzyknąwszy, by zwrócić jej uwagę.

Wyciągnęła rękę i schwyciła go w powietrzu. Oczy jej rozbliły i znowu wyciągnęła rękę. Sylwusz Antonjusz powtórzył swój manewr. Rzuciła wtedy nagle do rzeki zerwane kwiaty, pędząc po wodzie jelenia. Chwilami powstrzymywała go. Sylwusz Antonjusz rzucał znów pierścień i pokusa pchała ją naprzód.

Zupełnie nieoczekiwanie odrzuciła wszelkie wątpliwości. Z rumieńcami na twarzy, już bez żadnych nawoływań zbliżała się do okrętu. Jelenź szedł już po szyję w wodzie. Dotarł nareszcie do burty.

Marynarze przechylili się, by pomóc pięknej nimfie, o ile zechce dostać się na pokład galery.

Lecz nimfa nie widziała nikogo poza Sylwuszem Antonjuszem, który strojny w pierścienie i perły stał piękny, jak wschodzące słońce. Kiedy młody rzymianin zauważył, że oczy nimfy spoczywają na nim, po-

chylił się bardziej niż wszyscy. Wołano nań, by był ostrożniejszym, gdyż może stracić równowagę i wpaść do wody.

Ostrzeżenia jednak nie osiągnęły celu. Niewiadomo — czy nimfa silnym ruchem pociągnęła go ku sobie, czy stało się to inaczej — lecz znalazł się poza burtą nim ktokolwiek zdążył go pochwycić.

Zresztą Sylwuszowi Antonjuszowi nie groziło niebezpieczeństwo zatonięcia. Nimfa podchwyciła go rozpościerając swe różowe ramiona. Dotknął zaledwie wody. W tej samej chwili jeleni rzucił się w bok, wyskoczył na brzeg i znikł w głębi lasu. Zdawałoby się tylko śmiech dzikiej amazonki, uwożącej Sylwusza Antonjusza.

Halen i jego ludzie w ciągu minuty byli bezwładni ze strachu. Potem niektórzy zrzucili odzież, by płynąć do brzegu, lecz Halen powstrzymał ich.

— Bezspornie jest to wola bogów, — powiedział. Oto w jakim celu poprzez tysiące burz zagnali Sylwusza Antonjusza Poppjusza do tej nieznanej ziemi. Cieszymy się, że byliśmy narzędziem w ich ręku! Lecz nie próbujemy przeszkadzać!

Marynarze pokornie ujęli wiosła i popłynęli w dół rzeki, śpiewając w takt rytmicznych uderzeń wiosel przeciągłą pieśń o ucieczce Arefuzy.

Po wysłuchaniu tego opowiadania podróżny powinien zrozumieć znaczenie starożytnego rysunku, który mu pokazano tam, gdzie onego czasu istniała Wielka Kungachella. Rozróżni wtedy i jelenia i roz-

łożystymi rogami i trierą z wiosłami długimi. Nie można oczekiwać, by ujrzał Sylwjusza Antonjusza Poppjusza i piękną córę lasów: by ich ujrzeć — trzeba patrzeć oczyma starego podania.

Zrozumie nawet, że rysunek ten został wykonany przez młodego rzymianina. Bo rzeczywiście Sylwusz Antonjusz sam ułożył to podanie i przekazał go dosłownie swoim potomkom. Rozumiał, jak miłem im będzie wiedzieć, że ród swój wywodzą od słynnych rzymian.

Podróżny nie powinien, naturalnie, przypuszczać, że na wybrzeżu błąkała się jedna z nimf Pana. Domyśli się, że w lesie koczowało dzikie plemię, a amazonka była córką króla, który rządził tymi biednymi ludźmi. Co zaś do młodej dziewczyny — to uwożąc Sylwjusza Antonjusza, chciała, tylko zawładnąć jego klejnotami. O nim samym nie myślała i może nie podejrzewała nawet, że jest takim człowiekiem, jak ona.

Podróżny zrozumie, że imię Sylwjusza Antonjusza nie zachowałyby się w tych miejscowościach, gdyby był nadal prowadził dawne, rozpustne życie. Opowiedzą mu, jak młody rzymianin zmienił się pod wpływem smutku i nędzy i został u barbarzyńców nie pogardzonym niewolnikiem, a królem.

Zaczął karczować odwieczny las za pomocą ognia i siekiery, wznosił pierwsze spojone domy, wybudował okręt i zorał pola. On właśnie stworzył podwaliny wielkości dawnej Kungachelli.

Poznawszy tę historję, podróżny weselej spojrzy na okolicę. Chociaż zamiast miasta rozpościerają się pola i łąki, a na rzece nie widać barwnych żagli — słuchając opowiadania widział tutaj cienie przeszłości i oddychał marzeniem.

SYGRYD WSZECHWŁADNA

Była cudowna wiosna. Tej wiosny królowa szwedzka, Sygryd Wszechwładna, nazaczyła spotkanie w Kungachelli królowi norweskiemu, Olafowi Trugwasonowi, by porozumieć się co do wesela.

Dziwnem jest, że król Olaf chciał się żenić z królową Sygryd. Pomimo swego bogactwa, piękności i szlachetności była ona zakamieniałą poganką, a król Olaf wyznawał religję chrześcijańską i zajmował się jedynie stawianiem kościołów i chrzczeniem ludu. Lecz może przypuszczał, że sam Bóg skieruje jej duszę na drogę prawdy.

Ale dziwniejszem było to, że jak tylko Wszechwładna zawiadomiła króla Olafa, że przybędzie do Kungachelli, gdy lody znikną na morzu — natychmiast zaczęła się wiosna. Nie było mowy o chłodach i śniegu w czasie, gdy zima zwykle bywa najsurowszą.

Kiedy Wszechwładna rozkazała przygotować do drogi okręt, lód w fiordach stopniał, zazieleniły

się łąki i chociaż do Zwiastowania było jeszcze daleko, można już było wyganiać bydło na pastwiska.

A gdy królowa jechała między wschodnio — Jetskimi wypami do morza Wschodniego, na skałach siedziały kukając, kukułki chociaż za wcześniej było nawet na skowronki.

Radość panowała wszędzie, gdzie tylko ukazał się okręt Wszechwładnej. Wszyscy olbrzymi, którzy za króla Olafa musieli uciekać z Norwegji, nie mogąc znosić obrządków kościelnych, wychodzili na szczyty gór, gdy obok przejeżdżała Wszechwładna. Z korzeniami wyrwali młode drzewka i machali w kierunku królowej. Wracając zaś do swego kamiennego schronienia, gdzie tęskniąc, zawodziła żona, olbrzym mówił ze śmiechem:

— Nie masz czego smucić się teraz! Wszechwładna pojechała do króla Olafa, więc już niedługo będziemy mogli wrócić do Norwegji.

Kiedy królowa przejeżdżała koło Kullabergu, wyszedł ze swej pieczary Kullaman. Kazał otworzyć się czarnej górze, aby Sygryd mogła zobaczyć przecinające skałę srebrne i złote żyły i cieszyła się z tych skarbów.

Kiedy Wszechwładna jechała koło Challandu, ze swych wodospadów wypłynął wodnik, zbliżył się do ujścia rzeki i tak zagrał na swej harfie, że okręt zaczął tańczyć na falach.

Kiedy królowa zrównała się z wypami Nidrygaru, rusalki wyległy na skały i zaczęły dmuchać.

w muszle, wskutek czego woda wzniosła się wysoko, rozpryskując się w białą pianę.

Kiedy zawiął wiatr niepożądany, z odmętów wychodziły potworne wiedźmy i szczęśliwie przeprowadzały okręt królowej przez fale. Jedna popychała go ztyłu, drugie brały w zęby linę z traw morskich i zaprzęgały się do niego, jak konie.

Dzicy wikingowie, których król Olaf nie znosił w swym kraju z powodu ich przestępstw, podpływali do okrętu ze spuszczoneymi żaglami i wzniesionymi toporami, chcąc rozpocząć walkę. Lecz, poznawszy królową, pozostawiali ją w spokoju, krzycząc w ślad za nią:

— Pijemy za twoje wesele, Wszechwładna!

Wszyscy poganie, mieszkający na wybrzeżu, podrzucali drwa na kamienne ołtarze i składali starym bogom w ofierze owce i kozy, by tylko strzegli Sygrydy, udającą się do króla Norwegii.

Kiedy królowa zboczyła ku rzece Nordre, tuż przy okręcie wynurzył się z fal król morza, wyciągnął swą białą rękę i podał jej dużą, wspaniałą perłę.

— Noś ją, Wszechwładna, — powiedział — by król Olaf pokonany został przez twą urodę i nie zapomniał cię nigdy!

Płynąc jakiś czas w górę rzeki, królowa usłyszała silny hałas i szum, robiący wrażenie wodospadu. Czem dalej — hałas stawał się silniejszy i królowa myślała, że zbliża się do miejsca jakiejś wielkiej bitwy. Lecz kiedy minęła wyspę i zwróciła w wiel-

ką deltę, ujrzała przed sobą na brzegu Wielką Kungachellę.

— Nic podobnego nie spotkałam jeszcze, — pomyślała królowa.

Zrozumiała, że przyczyną słyszanego hałasu były prace w porcie, które w Kungachelli odbywały się zwykle na wiosnę przed wysłaniem okrętów w dalekie kraje.

Słyszała, jak kowale kuli ciężkimi młotami, jak w piekarniach wałkowano ciasto, jak ładowano deski na wielkie łodzie, jak młodzi robotnicy obdzierali z kory masztowiec i odrabiali szerokie łopaty wiosł. Widziała dużo małych, zielonych ogródków, gdzie dziewczęta skręcały liny dla marynarzy, a starsz-kowie z igłami w ręku łatali stare żagle.

Widziała, jak wykończano nowe okręty, jak wbijano gwoździe w dębowe, mocne deski. Na okrętach malowano postacie smoków. Pakowano towary, ludzie żegnali się spiesźnie, przenoszono ciężkie skrzynie.

Naładowane okręty odpływały. Wszechwładna zauważyła, że okręty płynące z prądem miały ciężki ładunek, składający się ze śledzi i soli, te zaś, które ruszały na zachód, na otwarte morze, piętrzyły się aż do samego masztu od cennych desek dębowych, futer i skór.

Widząc to wszystko, królowa uśmiechnęła się radośnie. Zdecydowała, że chętnie poślubi króla Olafa, by rządzić takim miastem.

Wszechwładna podpłynęła do przystani królew-

skiej. Tam oczekiwał ją król Olaf i kiedy zrobiła kilka kroków na jego spotkanie, król zauważył, że podobnej urody nie widział jeszcze nigdy.

Udali się do królewskiego zamku. Przyjaźń i zgoda odrazu zapanowały pomiędzy nimi. Kiedy należało siadać do stołu, Wszechwładna, uśmiechając się, wesoło rozmawiała z królem, gdy biskup odmawiał modlitwę przed obiadem. Król, by jej dogodzić, rozmawiał i śmiał się również. Kiedy skończyła się uczta i wszyscy złożyli ręce, by wysłuchać modlitwy biskupa, Wszechwładna zaczęła opowiadać królowi o swoich bogactwach. Mówiła bez przerwy, aż póki nie skończono modlitwy poobiedniej, a król słuchał jej słów, a nie biskupa.

Król posadził Wszechwładną na honorowym miejscu, a sam usiadł u jej stóp. Wszechwładna opowiadała mu, jak kazała spalić dwóch królewiczów zato, że ośmielili się prosić o jej rękę. Olaf cieszył się i myślał, że los ten spotka wszystkich królewiczów, którzy zechcą wznieść oczy na taką kobietę, jak Wszechwładna.

Kiedy zadzwoniono na nieszpory, król powstał, by jak zwykle udać się do kościoła. Lecz Wszechwładna zawołała wtedy swego skalda, który zaśpiewał balladę o Brunhildzie, która kazała zamordować Sygurda Fafnesbana. Król Olaf do kościoła nie poszedł. Zamiast tego siedział, zachwycając się głębokiem oczyma Wszechwładnej, rysunkiem jej gęstych, czarnych brwi. I zrozumiał, że Wszechwładna jest Brunhildą, która zabije go, gdyby ją zdradził. Roz-

myślał i nad tem, że zdolna jest nawet spłonąć razem z nim na stosie. Podczas gdy księża odprawiali nabożeństwo w kościele, król Olaf przychodził do wniosku, że gotów jest pocwałować do Walhalli, wzięwszy z sobą na konia Wszechwładną.

Wieczorem przewoźnik, który przeprowiał ludność przez rzekę Jetę, miał więcej pracy niż zwykle. Co chwila wołano nań z drugiego brzegu, lecz gdy podpływał — nie było widać nikogo. Jednakże dookoła słyszał kroki i łódka napełniała się tak ciężko, że omal nie szła na dno. Przewoził tak całą noc z jednego brzegu na drugi, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć. Nazajutrz rano na piasku nadbrzeżnym widać było mnóstwo śladów maleńkich nóg, a na nich zauważył przewoźnik zwiędłe listeczki, które, gdy im się przyjrzał bliżej, okazały się ze szczerzego złota. Zrozumiał wtedy, że powróciły wszystkie gnomy i elfy, które opuściły Norwegję z chwilą wprowadzenia chrześcijaństwa.

A olbrzym, mieszkający na górze Fontin, na wschód od Kungachelli, przez całą noc rzucał wielkie płyty kamienne w kościół Panny Marji. Gdyby nie był tak silnym, że rzucane głazy przelatywały przez rzekę i toczyły się aż hen do Chissingenu — mogłoby się zdarzyć wielkie nieszczęście.

Dawniej król Olaf zazwyczaj chodził zrana do kościoła. Lecz w dniu, kiedy Wszechwładna znajdowała się w Kungachelli, zabrakło mu na to czasu. Gdy tylko wstał, udał się do portu, chcąc zapytać królowę, która mieszkała na swoim okręcie, czy

nie ma nic przeciw temu, by wesele odbyło się wieczorem.

Biskup kazał dzwonić przez cały ranek. Kiedy król, wyszedłszy z pałacu, przechodził przez plac, otwały się podwoje kościelne i na spotkanie jego rozbrzmiała cudna pieśń. Król jednak przeszedł, jak gdyby nic nie słyszał. Wtedy biskup kazał zatrzymać dzwony. Śpiew ucichł, świece pogasły.

Stało się to tak niespodziewanie, że król przystanął chwilę, oglądając się na kościół. Wydało mu się wtedy, że kościół jest brzydszym, niż myślał. Jest niższym od wszystkich innych budynków w mieście, dach z torfu wtlacza w ziemię pozbawione okien ściany, wejście — niskie, ciemne, z małym daszkiem z kory sosnowej.

Kiedy stał, myśląc w ten sposób, we drzwiach kościoła ukazała się młoda, kształtna kobieta. Na rękach trzymała dziecko o jasnych włosach. Odzież jej była uboga, lecz królowi zdawało się, że podobnie królewskiej postaci nie spotkał jeszcze nigdy. Była wysoka, ładna, majestatyczna.

Król patrzył z rozrzewnieniem, jak młoda kobieta pieśczośliwie tuliła do siebie dziecko, jak gdyby nie miała nic droższego na świecie.

Kobieta zatrzymała się przy drzwiach i z rozpaczą patrzyła na ciemny, ubogi kościół. Kiedy znowu spojrzała na plac — w oczach jej błyszczały łzy. Lecz gdy trzeba było przestąpić próg, męstwo ją opuściło. Oparła się o odrzewia i spojrzała na

dziecko z taką rozpaczą, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Gdzie? Gdzie się mamy schronić?

Król stał bez ruchu, obserwując nieszczęśliwych. Najbardziej wzruszyło go, że beztroski dzieciak musnął jej twarz kwiatkiem, chcąc zmusić do uśmiechu. I zobaczył, że kobieta stara się ukryć smutek i uśmiecha się do syna.

— Kim jest ta kobieta? — pomyślał król. Zdaje się, że widziałem ją kiedyś. Napewno pochodzi ze znakomitej rodziny, lecz wpadła w nędzę.

Pomimo całego pośpiechu, by prędzej zobaczyć się z Wszzechwładną, król nie mógł od niej oderwać oczów. Myślał ciągle, gdzie i kiedy widział te łagodne oczy i miłą twarz.

A kobieta wciąż stała we drzwiach kościoła, jak gdyby nie mogła się zdecydować odejść. Wtedy król podeszedł do niej i zapytał:

— Czemu jesteś tak smutną?

— Wypędzono mnie z domu, — odpowiedziała kobieta, wskazując na mały, ciemny kościół.

— Kto cię wypędził?

Spojrzała na niego z nieopisanym smutkiem i powiedziała:

— Czy nie wiesz?

Wtedy król odwrócił się od niej. Ma tracić czas na odgadywanie zagadek! Kobieta, zdaje się, daje do zrozumienia, że to on ją wypędził. Nie rozumie, co chce przez to powiedzieć!

Król szybko poszedł naprzód. Wkrótce znalazł

się na przystani królewskiej, gdzie na kotwicy stał okręt Sygryd. Na brzegu spotkał swiętą królowej w srebrnych hełmach i w strojach, naszytych złotym galonem.

Wszechwładna stała na pokładzie, zachwycając się wspaniałością i bogactwem Kungachelli. Patrzyła na miasto tak, jak gdyby uważała się już za jego władczynię.

Zobaczywszy Sygryd, król natychmiast przypomniał sobie młodą kobietę, która wychodziła z kościoła z twarzą tak smutną i nieszczęśliwą.

— Kto ona? — pomyślał. — Zdaję mi się, że jest piękniejszą nawet od Wszechwładnej.

Gdy królowa uśmiechnęła się doń, przypomniał sobie, jak łzy zabłysły w oczach tamtej kobiety. Twarz jej tak utkwiała w pamięci Olafa, że mimo woli porównywał ją z rysami twarzy Wszechwładnej. I w skutek tego porównania bladła cała piękność królowej.

Zauważył, że Sygryd ma złe oczy i zmysłowe usta. W każdej linii jej twarzy dopatrywał się jakiegokolwiek wady. Widział, że wogóle jest mimo to piękną, lecz już nie uważał powierzchowności jej za ponętą. Zaczął się jej obawiać, jak gdyby była jadowitą, błyszczącą żmiją.

Kiedy Sygryd ujrzała króla, na usta jej wypłynął triumfujący uśmiech.

— Nie oczekiwałam cię tak wcześnie, królu Olafie, — powiedziała. — Myślałam, że jesteś na mszy.

Król miał ochotę sprzeciwić się jej i zrobić coś naprzekór.

— Msza nie zaczęła się jeszcze, — odpowiedział. — Przyszedłem cię prosić do domu mojego Boga.

Król widział, że gdy mówił te słowa, oczy Wszechwładnej rozblęły, lecz nie przestała się uśmiechać.

— Wejdz lepiej na okręt, — powiedziała. — Pokażę, jakie ci przywiozłam podarunki.

Jak na przynętę podniosła złoty miecz, lecz on znowu mimowoli zaczął ją porównywać z tamtą kobietą. I wydało mu się, że Wszechwładna stoi, jak smok pośród swoich skarbów.

— Chcę najpierw wiedzieć, czy pójdziesz ze mną do kościoła, — powiedział król.

— POCO? — zapytała wyzywająco.

Król zmarszczył brwi i Sygryd zrozumiała, że jest w innym nastroju niż wczoraj. Natychmiast zmieniła ton, stając się łagodną, chętną do ustępstw.

— Idź do kościoła, jeśli masz ochotę, — dodała. — Lecz ja nie pójdę. Nie będziemy się sprzeczać z tego powodu.

W tej samej chwili król się obejrzał. Zdaleka zobaczył tamtą kobietę. Szła zmęczonym krokiem, zgarbiona, i jak przedtem niosła na rękach dziecko.

— Czemu się tak przyglądasz, królu Olafie? — zapytała Wszechwładna.

Wtedy kobieta odwróciła się i król zobaczył jak

nad głową jej, i dziecka zajaśniało złote światło, które było piękniejsze nad wszystkie skarby królewskie.

— Czemu się tak przyglądasz, królu Olafie? — spytała po raz drugi Sygryd.

Kiedy król Olaf spojrział na nią, wydała mu się starą, potworną, stoczoną przez wszystkie grzechy i zbrodnie świata i przeraził się, że mógł wpaść w jej sidła.

Zdjął był rękawiczkę, by podać jej rękę, lecz teraz rękawiczką tą uderzył ją w twarz.

— Czego chcesz ode mnie stara poganko? — zawołał.

Wszzechwładna odskoczyła na trzy kroki. Szybko jednak zapanowała nad sobą i powiedziała:

— Uderzenie to będzie twoim wyrokiem, królu Olafie Trugwasonie!

Cofnęła się blada jak śmierć.

W nocy król Olaf miał straszny sen.

Widział siebie nie na ziemi, lecz na dnie morskiem. Była to szaro-zielona przestrzeń, ponad którą na wiele metrów wznosiła się woda. Nad swą głową widział pływające ryby, okręty sunęły po powierzchni wody jak ciemne chmury, a światło słoneczne przypominało matowy blask bladego księżyca.

Po dnie morza szła kobieta, którą widział we drzwiach kościoła. Miała na sobie tę samą zniszczoną odzież, chód jej był również ociężały, a twarz smutna, jak wówczas.

Lecz kiedy dotykała dna morskiego, woda roz-

stępowała się przed nią. Widział, jak tworzyć zaczęła wspaniałe sklepienie, zmieniała się w kolumnadę, a kobieta szła, jak przez cudowną świątynię.

Nagle zauważył, że woda otaczająca kobietę, zaczęła zmieniać kolor. Z początku zaróżowiła się trochę, po chwili była już czerwoną, aż w końcu całe morze stało się purpurowe, jak krew.

Na dnie morza, tam gdzie przechodziła kobieta, widać było odłamki mieczów, tarcz, połamane łuki i strzały. Z początku było ich niewiele. Lecz im dalej szła poprzez purpurową wodę — gromadziło ich się coraz więcej.

Król ze drżeniem zauważył, że kobieta zboczyła z drogi, by nie nastąpić na martwego człowieka, leżącego na bielonych wodorostach. Człowiek ubrany był w pancerz, w rękę trzymał miecz, a na głowie miał rozwartą, głęboką ranę.

Królowi wydało się, że kobieta przymknęła oczy, by tego nie widzieć. Szła z jakimś określonym celem bez obawy i wahania. Nawet i we śnie nie mógł oderwać od niej oczów.

Całe dno morskie pokryte jest już odłamkami. Widział ciężkie kotwice okrętowe, grube liny, wijące się jak węże. Okręty leżały z wyrwanymi bokami, a złote głowy smoków, służące dawniej jako upiększenia, patrzyły na niego krwią nabiegłymi oczyma.

— Chciałbym wiedzieć, — pomyślał we śnie król, — kto walczył tutaj na morzu, dając tak obfite żniwo śmierci.

Wszędzie widział trupy. Zwieszały się z burt,

leżały w grząskich wodorostach. Jednak nie miał czasu przyglądać się temu, gdyż musiał obserwować kobietę, która wciąż posuwała się naprzód.

Zatrzymała się wreszcie koło jednego trupa. Człowiek ten miał na sobie czerwoną kurtkę, błyszczący hełm na głowie, w jednej ręce tarczę, a w drugiej miecz. Kobieta pochyliła się nad nim i zawołała cicho, jak gdyby go chciała obudzić:

— Królu Olafie! Królu Olafie!

Wówczas śpiący zobaczył, że on właśnie jest tym człowiekiem, leżącym na dnie morza. I zrozumiał, że przestał żyć.

— Królu Olafie! — szeptała kobieta. — Jestem tą, którą widziałeś przy kościele w Kungachelli. Czy nie poznajesz mnie?

Ponieważ trup się nie poruszał, kobieta przyklękła obok niego, szepcząc mu do ucha:

— Wszechwładna przez zemstę wysłała przeciw tobie swą flotę. Czy nie żałujesz, królu Olafie?

Potem zapytała:

— Pograżony jesteś w smutku śmierci, gdyż wyniosłeś mnie ponad Wszechwładną. Czy nie żałujesz? Nie żałujesz?

Trup otworzył wreszcie oczy i kobieta pomogła mu wstać. Oparł się na jej ramieniu i powoli zaczęła go prowadzić.

Król Olaf widział, że idzie ona ciągle — we dnie i w nocy, przez lądy i morza. Wydało mu się wreszcie, że wzniesli się już ponad pioruny i ponad gwiazdy.

Znaleźli się w precudnym ogrodzie, gdzie ziemia lśniła jak białe światło, a kwiaty były przezroczyste, niby krople rosy.

Król spostrzegł, że z chwilą gdy kobieta weszła do ogrodu, chód jej stał się lżejszym. Kiedy zrobiła kilka kroków, szaty jej zaczęły błyszczeć i król widział, jak same przyozdobiły się złotym galonem i rozbłysły jaskrawymi barwami. Widział również, jak nad jej głową utworzyła się promienna aureola, oświecając jej twarz.

Trup, opierający się o jej ramię, podniósł głowę i zapytał:

— Kto jesteś?

— Czy nie wiesz, królu Olafie? — odpowiedziała i bezkresnym majestatem tchnęła cała jej postać.

Król we śnie odczuł olbrzymią radość, że wybrał służbę u jasnej Królowej Niebios. Nigdy jeszcze nie przeżywał podobnej radości. Była ona tak silną, że się obudził.

Łzy płynęły mu po twarzy i leżał z rękami złożonymi, jak do modlitwy.

A S T R Y D

Pośród niskich zabudowań starożytnego pałacu królewskiego w Upsali wznosiła się wieżyczka, w której mieszkały dziewczęta. Zbudowaną była na słupach, jak gołębnik. Wchodziło się doń po schodach, wąskich jak ścieżynka leśna. Drzwi były niziutkie niby okienko. Wewnątrz na ścianach wisiały makaty, które prawdopodobnie mówiły o miłości i tęsknocie. Pod wąskimi strzelnicami znajdowały się okrągłe, małe otwory, wywiercone w drewnianej ścianie: często stawały tam dziewczęta i, opierając się łokciami, patrzyły wdół na podwórze.

Już od kilku dni stary skald Jalte gościł na dworze królewskim. Codziennie odwiedzał mieszkającą w wieżyczce księżniczkę Injeerd i mówił jej o królu norweskim, Olafie Haraldsonie. A ile razy przychodził, niewolnica Injeerd, Astryd słuchała jego opowiadań z tą samą przyjemnością, jak i księżniczka.

Gdy Jalte mówił, obydwie słuchały go z takim przejęciem, że opuszczając robotę na kolana, siedziały z założonymi rękami. Patrząc na nie, trudno

byłoby uwierzyć, że w komnatach dziewczęcych wykonywano jakiekolwiek roboty ręczne. Nie można sobie było wyobrazić, że odbierają one słowa Jalte jak odcienie jedwabów, z których potem każda stwarza sobie portret króla Olafa, lub przypuszczać, że utkała z nich barwny kobierzec.

A jednak tak było w rzeczywistości. Portret, stworzony przez księżniczkę był tak piękny, że patrząc nań, miała ochotę uklęknąć i modlić się. Widziała króla z koroną na głowie, siedzącego na tronie wysokim. Widziała, jak haftowany złotem płaszcz purpurowy zwisał z jego ramion aż do ziemi. W ręku trzymał nie miecz, lecz Pismo św., a tronu jego strzegła poskromiona czarownica. Twarz jego w obramowaniu długich prostych włosów białą była, jak wosk, w oczach błyszczała bogobojność i spokój. Ach, przerażenie ogrzało ją nawet, kiedy widziała, jaka nadprzyrodzona siła promieniowała z tej bladej twarzy. Rozumiała, że Olaf jest nie tylko królem, lecz i świętym, równym aniołom.

Astryd wyobrażała sobie króla zupełnie inaczej. Jasnowłosa niewolnica, która znała i głód, i chłód, i ciężką pracę, a mimo to rozweselająca wyżkę ciągłymi żartami i śmiechem, w myślach swych widziała go innym. Kiedy mówiono o królu, przed oczami jej stawał, nie wiadomo dlaczego, młody drwał, wychodzący wieczorem z lasu z siekierą na ramieniu.

— Widzę cię widzę,— w myśli mówiła Astryd.— Jesteś niewysoki, lecz szeroki w plecach, lekki

i zręczny. Cały Boże dzień włóczyłeś się w gęstwinie leśnej, a teraz biegniesz podskakując i śmiejesz się, zbliżając do domu. Włosy się rozwiewają, błyszczą się zęby — lecz mnie się to podoba. Widzę, masz czerwoną twarz i piegi na nosie. Masz niebieskie oczy, które wydają się ciemne i smutne, gdy jesteś w lesie, lecz kiedy stajesz na brzegu gęstwiny, skąd widać dolinę i dom twój, stają się jaśniejsze i łagodne. Zobaczywszy go w głębi doliny, zdejmujesz czapkę na znak powitania i wtedy widzę twoje czoło. Czy nie jest to czoło królewskie? Czy to czoło szerokie nie jest stworzone do noszenia korony i hełmu?

Pomimo całej różnicy między tymi portretami, nie ulega wątpliwości, że księżniczka kochała z tą samą siłą twarz świętego, wytwór swej wyobraźni, jak i marna niewolnica — swego młodego drwala, którego widziała, gdy wychodził z lasu.

Gdyby Jalte mógł widzieć te portrety, pochwaliby i jeden, i drugi. Powiedziałby, że obydwie podobne są do króla. Jalte powiedziałby również, że chociaż król Olaf, urodziwszy się pod szczęśliwą gwiazdą, jest zdrowym, wesołym młodzieńcem, lecz zalicza się równocześnie do świętych sług Bożych.

Stary Jalte kochał króla Olafa i chociaż wędrował od domu do domu i widział dużo ludzi, nie spotkał jednak nikogo, ktoby mu dorównał.

— Gdzie znajdę tego, któryby mnie zmusił do zapomnienia o Olafie Haraldsonie?—mawiał Jalte.— Gdzie spotkam człowieka, któryby go przewyższył?

Skald Jalte był chudym, napozór pospolitym

starcem. Twarz miał śniadą z zapadniętymi oczami, a włosy zupełnie czarne, mimo podeszłego wieku. Śpiew jego harmonizował doskonale z powierzchownością. Nie mówił nigdy o niczem innym, jak o wojnie. Nie tworzył żadnych innych pieśni, prócz tych, które opiewały bitwy.

Serce starego Jalte można było porównać do niezamieszkałej pustyni. Było ono podobne do wysokiego, skalnego zrębu, na którym nic rosnąć nie może prócz nikłej trawy i suchego mchu.

Lecz w czasie swych wędrówek Jalte odwiedzał pałac w Upsali, poznał księżniczkę Injeerd i upewnił się, że jest ona o tyle szlachetniejszą od wszystkich widzianych dotąd przezeń kobiet, o ile król Olaf przewyższa wszystkich mężczyzn na świecie.

I nagle Jalte powziął myśl, że dobrze byłoby wzbudzić uczucie wzajemnej miłości w sercu szwedzkiej księżniczki i króla Norwegji. Zapytywał sam siebie, czy możliwem jest, by ona, kobieta wyjątkowa mogła nie pokochać króla Olafa, najlepszego z pomiędzy wszystkich ludzi.

Odkąd ta myśl zrodziła się w mózgu Jalte, przestał tworzyć swoje ponure ballady. Nie starał się już o uznanie i nagrody pospolitych rycerzy na zamku upsalskim, lecz długie godziny spędzał z kobietami na wieżycze. Trudno było uwierzyć, że potrafi się zdobyć na te delikatne, pieszczotliwe zwroty, których używał, mówiąc o królu Olafie.

Jalte zmienił się do niepoznania. Od chwili powstania myśli o skojarzeniu tego małżeństwa, stał

się innym człowiekiem. Odkąd myśl słodka przeniknęła serce starca, zdawało się, że precudna róża o delikatnych, pachnących płatkach zakwitła na pustyni.

Pewnego razu Jalte odwiedził znowu księżniczkę na wieżycze. Wszystkie dziewczęta prócz Astryd odeszły.

Jalte uważał, że już dosyć mówił o Olafie Haraldsonie. Powiedział już wszystko, co wiedział o nim dobrego. Lecz czy to wywarło wrażenie? Co jednak myśli o królu księżniczka?

Jalte zaczął rozstawiać sidła, by podstępem dowiedzieć się zdanie księżniczki o królu Olafie.

— Rumieniec, lub spojrzenie ją zdradzi, — myślał.

Lecz księżniczka pochodziła ze znakomitego rodu i umiała panować nad sobą. Nie zarumieniała się i nie uśmiechnęła. Oczy jej nie rozbłysły. Nie pozwoliła badać swych uczuć.

Zawstydził się stary Jalte, patrząc na jej twarz szlachetną.

— Jest ona zbyt dobrą, by ją oszukiwać, — zdecydował. — Z nią trzeba postępować otwarcie.

I Jalte powiedział poprostu:

— Córko królewska, co odpowiesz, jeśli Olaf Haraldson poprosi ojca o twoją rękę?

Twierz młodej księżniczki rozjaśniła się, jak twarze ludzi, którzy wszedłszy na szczyt górski, ujrzeni morze. Odpowiedziała natychmiast bez wahania:

— Jeśli jest on tak dobrym władcą i chrześcijaninem, jak twierdzisz Jalte, byłoby to dla mnie wielkiem szczęściem.

Lecz nie zdążyła jeszcze powiedzieć tego, gdy zgasł już płomień w jej oczach. Można było przypuszczać, że mgła zawisła pomiędzy nią i pięknem, dalekiem marzeniem.

— Ach Jalte, — powiedziała, — zapominasz o jednej rzeczy. Król Olaf jest naszym wrogiem. Obecnie mamy wojnę i nie swatów czekamy od niego.

— Nie martw się o to, — odpowiedział Jalte. — Jeżeli ty się zgodzisz — wszystko będzie dobrze. Znam poglądy króla Olafa.

Skald Jalte śmiał się z radości, lecz księżniczka była coraz smutniejsza.

— Nie chodzi o mnie, — westchnęła, — i nie o króla Olafa, lecz o mego ojca konunga Olufa. Wiesz, że nienawidzi Olafa Haraldsona i nie pozwala wymówić nawet jego imienia. Nigdy mi nie pozwoli udać się do państwa swego wroga. Nigdy nie odda swej córki Olafowi Haraldsonowi!

Księżniczka, odrzuciwszy, dumę, zaczęła się uskarżać przed skaldem.

— I cóż z tego, że dowiedziałam się o Olafie Haraldsonie, — mówiła, — cóż z tego, że śnią o nim w nocy, a dnie całe tęsknię? Czy nie byłoby lepiej, bym się nigdy nie była dowiedziała o jego istnieniu? Czy nie byłoby lepiej, byś tutaj nigdy nie był przyśzedł i nie opowiadał mi o nim?

Gdy to mówiła, oczy jej napełniły się łzami.

Widząc to, Jalte wznosił ramiona i wykrzyknął gwałtownie:

— Taką jest wola Boga! Jesteście dla siebie stworzeni! Wojna powinna zmienić swój płaszcz czerwony na białe szaty pokoju, by cała ziemia cieszyła się z waszego szczęścia.

W odpowiedzi na słowa Jalte księżniczka najpierw pochyliła głowę na dźwięk imienia Wielkiego Boga, później zaś podniosła ją znowu z spojrzeniem pełnym nadziei.

— — — — —
Kiedy stary Jalte wychodził z niskich drzwi wierzyczki i schodził po wąskich, krętych schodach bez poręczy, wybiegła za nim Astryd.

— O, Jalte, — zawołała, — dlaczego się nie zapytasz, co jabym odpowiedziała, gdyby Olaf Haraldson poprosił o moją rękę?

Astryd poraz pierwszy zwróciła się do Jalte. Jalte obrzucił szybkim spojrzeniem złotowłosą niewolnicę, której kędziory tworzyły loki na skroniach i karku, która miała najszersze bransolety i najcięższe kolczyki, spódniczkę ozdobioną jedwabnym sznurczkiem i stanik haftowany perłami, jak pancerz. Jednakże bez słowa przeszedł obok niej.

— Dlaczego pytasz o to tylko księżniczkę Injeerd? — ciągnęła dalej Astryda. — Dlaczego nie zapytasz i mnie? Czy nie wiesz, że jestem również córką króla szwedzkiego?

— Czy nie wiesz, — mówiła znowu, gdyż Jalte milczał uporczywie, — że matka moja, chociaż nie-

wolnica, była przyjaciółką króla za czasów jego młodości? Czy nie wiesz, że póki żyła, nikt się nie odważył napomknąć o jej pochodzeniu? O Jalte, czy nie wiesz, że dopiero po jej śmierci, kiedy król wziął sobie królowę, wszyscy się spostrzegli, że matka moja była niewolnicą? Król zaczął myśleć o tem, że i ja nią jestem, dopiero wtedy, kiedy już miałam macochę. Lecz czy nie jestem córką królewską, Jalte, chociaż rodzony ojciec uważa mnie za coś tak godnego pogardy, że uczynił mnie niewolnicą? Czy dlatego tylko nie jestem królewską córką, że macocha ubierała mnie w zgrzebne płótna, a siostrę w złotogłów? Czy dlatego nie jestem królewską córką, że macocha zmuszała mnie do pasania gęsi i kaczek i że bito mnie różgami? A jeżeli jestem królewską córką — to dlaczego nie zapytasz mnie, czy chcę wyjść za mąż za Olafa Haraldsona? Spójrz! Mam złote, falujące włosy, które, jak lekki puch otaczają mą głowę. Spójrz! Mam ładne oczy i różowe policzki. Dlaczego król Olaf nie mógłby ożenić się ze mną?

Astryd szła z Jalte przez całe podwórze, odprowadziła go aż do komnat samego króla. Lecz Jalte zwracał na nią tyleż uwagi, co zbrojny rycerz na chłopca, rzucającego kamienie. W słowa złotowłosej niewolnicy wsłuchiwał się nie więcej, niż w szelest liści.

Nikt nie zdołał zrozumieć, jak cieszył się Jalte, zdobywszy serce Injeerd dla swego króla. Nazajutrz odważył się nawet pomówić o tem z konungiem Olu-

fem, ojcem księżniczki. Lecz król nie dał mu powiedzieć nawet dwóch słów i przerwał mu natychmiast, jak tylko zaczął mówić o Olafie Haraldsonie. Jalte zrozumiał, że miała rację szlachetna księżniczka. Nie przypuszczał, że natknie się na tak głęboką nienawiść.

— A jednak wesele musi się odbyć! — myślał Jalte. — Tak Bóg chce, Bóg chce!

I zdawało się, że Jalte ma słuszność. W kilka dni później przybył poseł kóła norweskiego Olafa, by rozpocząć ze Szwedami pertraktacje pokojowe. Jalte odwiedził posła i powiedział mu, że najlepszym środkiem utrwalenia pokoju między obu państwami, byłoby małżeństwo księżniczki Injeerd z Olafem Haraldsonem.

Posel zgodził się z nim, chociaż nie wierzył, by Jalte udało się zjednać młode dziewczę, dla nieznanego konkurenta. Obiecał jednak skaldowi, że w czasie zimowego folketingu w Upsali zwróci się z propozycją zawarcia tego małżeństwa do ojca księżniczki.

Wkrótce potem Jalte opuścił Upsalę. Szedł od domu do domu poprzez wielkie równiny, zapuszczał się w głąb lasów i dotarł nawet do wybrzeża morskiego.

Jalte nie ominął ani jednego człowieka, by z nim nie pomówił o Olafie Haraldsonie i księżniczce Injeedr.

— Czy słyszałeś kiedykolwiek o tak nadzwyczajnym człowieku i tak pięknym dziewczęciu? —

mówił. Najwidoczniej Bóg sobie życzy, by wspólnie odbyli życiową wędrówkę.

Jalte zaszedł do starych wikingów, którzy zimowali na wybrzeżu i podawnemu zewsząd porywali kobiety. Opowiadał im o księżniczce dotąd, aż póki nie pozrywali się z miejsc i z rękami na mieczach nie przysięgli, że dopomogą jej do zdobycia szczęścia.

Odwiedzał również starych, mądrych włóścian, którzy sami nie zwracali wielkiej uwagi na prośby swych córek i wydawali je zamaż, kierując się rozumem, lub względami rodzinnymi. Lecz skald prawił im tak mądrze o pokoju i małżeństwie, że przysięgli raczej zdetronizować króla, niż dopuścić do niezawarcia podobnego małżeństwa.

Młodym kobietom Jalte naopowiadał tyle o dobroci Olafa Haraldsona, że zaprzysięgły darzyć swymi względami tylko tych mężczyzn, którzy na folketingu dopomogą do złamania uporu wielkiego konunga.

I wędrował tak Jalte, przekonywując lud, aż póki nie nadszedł czas zimowego folketingu i wszyscy zaczęli się zjeżdżać do Upsali po śnieżystych drogach.

W chwili otwarcia folketingu ogólny nastrój był taki, że lud gotów był uwierzyć, że zgasną gwiazdy, o ile to małżeństwo nie dojdzie do skutku.

Propozycję pokoju i małżeństwa król dwa razy zdecydowanie odrzucił, lecz cóż z tego? Cóż z tego, że nie chce słyszeć imienia króla Olafa?

— Nie chcemy walczyć z Norwegją! — krzyczał lud. — Chcemy, by ta para, którą wszyscy uważają za najdoskonalszą, odbyła razem życiową wędrówkę!

Co mógł zrobić stary konung Oluf, gdy podniecony lud gorączkował się i burzył? Co mógł zrobić, mając przed sobą tylko obnażone miecze i rozhukanych ludzi? Czy nie był zmuszony zezwolić na małżeństwo, jeśli chciał zachować koronę i życie? Czy nie był zmuszony przysiąc, że latem wyśle ją do Kungachelli, gdzie nastąpi spotkanie z królem Olafem?

Oto w jaki sposób lud poparł miłość Injeerd. Lecz Astryd nikt nie pomagał w zdobyciu szczęścia, nikt nie wiedział o jej miłości. A jednak miłość ta istniała w jej sercu, żyła jak dziecię nieszczęśliwej wdowy po rybaku, w nędzy i niedostatku, lecz mimo to nie tracąc nadziei. Istniała i rozwijała się, gdyż Astryd miała w duszy jak gdyby świeżość i blask morza o pieniających się, olbrzymich falach.

II.

W bogatej Kungachelli zdala od granicy znajdował się stary pałac królewski. Otoczony był wysokim wałem torfowym, przy bramach jak gdyby na straży piętrzyły się olbrzymie granity, a za wałem rósł dąb, rzucający cień na całe, pałacowe podwórze.

Dokoła wału ciągnęły się długie, niziuchne budynki drewniane. Były one tak stare, że dachy mchem już porosły, a belki szczeniały zupełnie. Dachy pokryte były zielenią i kwiatami. Na niektórych jednak domkach dachówki przystawały tak szczelnie, jak

łuska ryby i tylko gdzieniegdzie mogła się przecisnąć pomiędzy niemi jakaś roślina.

Na początku lata król Olaf Haraldson przybył do Kungachelli i w wielkim, starym pałacu królewskim rozpoczęto przygotowania do wesela. Poprzez długą ulicę chłopci zwozili swymi małymi konikami beczki oleju, worki z serem, chmiel, sól, rzepę i mąkę.

Kiedy nareszcie zwieziono już wszystko, powoli zaczęli się zjeżdżać goście weselni. Przybyli wielcy panowie z całym zastępem sług i niewolników. Za nimi — tłumy kuglarzy, śpiewaków, wróżbitów. Zjechali również kupcy z Wendenu i Gardarike, proponując królowi zakupienie u nich ślubnych podarunków.

Po upływie dwóch tygodni od rozpoczęcia zjazdu, wszyscy, prócz narzeczonej, byli już na miejscu.

Narieczona ciągle zwlekała z przyjazdem. Codziennie oczekiwano, że wyląduje na królewskiej przystani i, poprzedzana przez flecistów, doboszów, wesołych panów i kapłanów poważnych, będzie szła ulicą, prowadzącą do królewskiego pałacu. Narieczona jednak nie przyjeżdżała.

Ponieważ kazała tak długo czekać na siebie, wszyscy obserwowali króla Olafa, chcąc wiedzieć, czy go nie dręczy obawa. Lecz na twarzy króla malował się niczem niewzruszony spokój.

— Jeśli Bóg życzy sobie, bym się ożenił z piękną królewną, — mówił, — to przybędzie ona napewno.

I król czekał. A tymczasem skoszono już trawę na łąkach i na życie widać było sporysz.

Król czekał, choć już len wrywano z ziemi i chmiel się złocił na wysokich żerdziach.

Czekał, chociaż w szczelinach doszły już czarne jagody i na bezlistnych krzakach dojrzewała tarnina.

Całe lato spędził Jalte w Kungachelli, oczekując na gody weselne. Nikt nie wyglądał księżniczki z taką niecierpliwością, jak on. Napewno przyjazdu jej pragnął bardziej, niż nawet sam Olaf.

Jalte mieszkał w pałacu razem ze świętą królewską. Daleko na rzece była przystań, gdzie kobiety z Kungachelli chodziły zwykle patrzeć, czy mężowie ich nie wracają z dalekich krajów. W ciągu całego lata schodzili się tam, obserwując ukazujące się żagle i opłakując nieobecnych. Jalte codziennie chodził na tę przystań. Chciał się znajdować w otoczeniu tych, którzy tęsknią i cierpią.

I napewno żadna z pomiędzy kobiet, znajdujących się na przystani, nie patrzyła w dal z taką tęsknotą, jak stary skald Jalte. Nikt z większą nadzieją nie wpijał spojrzenia w przesuwany się żagiel.

Czasami Jalte zachodził do kościoła. Nie prosił o nic dla siebie. Chciał tylko przypomnieć świętym o ślubie, który powinien być się odbyć, którego życzył sobie sam Bóg.

Lecz najchętniej Jalte spędzał czas na poufnych rozmowach z Olafem Haraldsonem. Lubił siedzieć i powtarzał królowi każde słowo księżniczki. Opisywał każdą linję jej twarzy.

— Królu, prosz Boga, by przybyła do ciebie, — mówił. — Dzień za dniem widzę, jak cię wciągają

do dawnego pogaństwa, które ukrywa się, jak puszczyk w mroku lasów i szczelin. Lecz sokół twój, królu, nie zwycięży nigdy puszczyka. Dokonać tego może tylko gołębica! Tylko gołębica.

Skald pytał króla, czy prawdą jest, że pragnie usunąć wszystkich współzawodników i być jedynym władcą w państwie. Lecz nigdy mu się to nie uda! Nie uda nigdy, póki nie opanuje korony, którą mu wybrał Jalte, korony jaśniejącej taką szlachetnością i blaskiem, że przed tym, który ją posiada, wszyscy chylić się będą posłusznie.

Wreszcie skald pytał króla, czy nie zechciałby zdobyć władzy przedewszystkiem nad samym sobą. Lecz nigdy nie potrafi opanować własnego niespokojnego serca, jeżeli nie będzie posiadał tarczy, którą widział Jalte na wierzycze w Upsali. Jest to tarcza, promieniejąca światłem niebiańskim, broniąca od wszelkiego zła i grzesznych myśli.

Nadeszła jesień, a księżniczki jeszcze nie było. Goście, którzy zjechali do Kungachelli na uroczystości weselne zmuszeni byli rozjeżdżać się powoli. Skald Jalte wyjechał ostatni. Z ciężkim sercem rozwinął żagle, lecz na Boże Narodzenie musiał dotrzeć do dalekiej Islandji.

Stary Jalte jechał między skalistymi wysepkami, zagrażającymi ujście rzeki Nordre, gdy nagle ujrzał przed sobą wielki okręt. Natychmiast kazał zatrzymać się swoim wiosłarzom. Poznał odrazu drogę księżniczki Injeerd. Nie namyślając się ani chwili, Jalte kazał wiosłować w kierunku dregu. Zajął

miejsce sternika i z rozjaśnioną twarzą patrzył przed siebie.

— Jakże jestem szczęśliwy, że jeszcze raz spojrzę na piękną narzeczoną, — myślał. Jakże jestem szczęśliwy, że jej miła twarz będzie ostatnią, którą zobaczę w drodze do Islandji.

Zmarszczki prawie że znikły z oblicza Jalte, kiedy wchodził na pokład. Wioślarzy szwedzkich, którzy podnieśli wiosła, powitał tak serdecznie, jak gdyby byli przyjaciółmi jego dzieciństwa, i ofiarował złoty pierścień dziewczęciu, które z szacunkiem wiodło skalda do namiotu kobiet, znajdującego się na przedzie okrętu.

Ręka Jalte drżała, kiedy unosił zasłonę namiotu. Chwila ta wydała mu się najpiękniejszą w życiu.

— Nigdy nie walczyłem za sprawę równie wielką, — myślał. — Niczego nie pragnąłem tak silnie, jak zawarcia tego małżeństwa.

Wszedłszy do namiotu, Jalte cofnął się przerażony. Na jego twarzy widać było najwyższe zdumienie.

Ujrzał tam wysoką, piękną kobietę. Podniosła się na przywitanie skalda i wyciągnęła doń rękę. Lecz nie była to Injeerd.

Jalte w małym namiocie szukał oczyma księżniczki. Widział, naturalnie, że ma przed sobą królewską córkę. Królowna tylko rzucić nań mogła tak dumne spojrzenie i przyjąć go z taką godnością. Królewski również ubiór zdobił jej głowę i całą po-

stać. Lecz dlaczego nie jest to Injeerd? Jalte zaczął szybko badać nieznaną.

— Kim jesteś?

— Czyż nie znasz mnie, Jalte? Jestem córka króla, z którą mówiłeś o Olafie Haraldsonie.

— Mówiłem z córką królewską o Olafie Haraldsonie, lecz zwali ją Injeerd.

— Imię moje jest również Injeerd.

— Możesz się nazywać, jak chcesz, lecz nie jesteś księżniczką. Co to znaczy? Czy władca Szwecji chce oszukać króla Olafa?

— Nie oszukuje go wcale. Zgodnie z obietnicą posyła mu swą córkę.

Jalte omal że nie dobył miecza, by zabić nieznaną. Położył już rękę na głowni, lecz pomyślał, że nie godzi się rycerzowi zabijać bezbronną kobietę. Jednakże nie miał ochoty rozmawiać z oszustką. Odwrócił się, by wyjść. Nieznajoma przywołała go i powiedziała łagodnie:

— Gdzie się spieszysz, Jalte? Czy może chcesz wrócić do Kungachelli.

— Właśnie, — odpowiedział Jalte, nie patrząc na nią.

— Dlaczego porzucasz mnie, Jalte? Czemu nie chcesz zostać ze mną? Ja też płynę do Kungachelli.

— Jalte odwrócił się, mówiąc:

— Ulituj się nad starcem! Wiedz, że dołożyłem wszelkich starań, by to wesele się odbyło. Wytłomacz mi, co to znaczy! Czy Injeerd nie przyjedzie wcale?

Wtedy księżniczka przestała drażnić Jalte.

— Wejdz do namiotu i usiądz. Powiem, ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Rozumiem, że przed tobą prawdy ukryć nie można.

I zaczęła opowiadać. Mówiła, że w końcu lata rozpoczęło się polowanie. Młode cietrzewie opierzyły się już, pazury ich stały się twarde i całe stada zaczęły szybko a szumnie krążyć nad sosnowym bosem.

Pewnego razu konung szwedzki wrócił z polowania. Stara samica i cztery młode cietrzewie wisiały, przytroczone ztyłu do siodła. Król był z tego ogromnie dumny. Sądził bowiem, że nawet polując z sokołami, nie można mieć bardziej wspaniałych trofeów.

Jalte powinien wiedzieć, że dnia tego księżniczka Injeerd wraz ze swemi służebnemi stała na podwórzu i czekała na króla. Jedną z pomiędzy jej służebnic, imieniem Astryd, była również córką króla szwedzkiego, lecz ponieważ matka jej była niewolnicą — ją również za niewolnicę uważano. Młoda ta służebna i pokazywała swej siostrze, jak jaskółki stadami zbierają się do odlotu i wybierają sobie przewodnika, aby odlecieć w dalekie kraje. Rozumiała ona, że zbliża się ku końcowi lato, w czasie którego miało się odbyć wesele Injeerd i namawiała siostrę, by zapytała ojca, dlaczego nie wysyła jej do króla Olafa. Astryd chciała jej towarzyszyć. Myślała, że będzie szczęśliwą przez całe życie, jeśli choć raz zobaczy Olafa Haraldsona.

Ujrawszy księżniczkę, król szwedzki szybko podjechał do niej.

— Spójrzj Injeerd, — powiedział. — Za siódmę mam pięć cietrzewi. W ciągu jednego ranka zabiłem pięć sztuk. Czy może być kto zrzęczniejszym ode mnie? Czy słyszałeś kiedykolwiek, by królowi powiodło się tak na łowach?

Księżniczkę oburzyło samochwalstwo króla, który równocześnie zagradza jej drogę do szczęścia. Aby położyć kres tęsknocie, która męczyła ją od kilku tygodni, księżniczka odpowiedziała:

— Ojczy, spełniłeś chwalebny czyn, zabijając pięć cietrzewi, lecz znam króla, który w ciągu jednego ranka wziął do niewoli pięciu królów. To Olaf, bohater, którego wybrałeś mi na męża.

Król szwedzki z wściekłością zeskoczył z konia i rzucił się do córki z zaciśniętymi pięściami.

Jaka wiedźma cię opętała?—krzyczał. — Jakiem cię zieleń opoili? Dlaczego serce twoje lgnie do tego człowieka?!

Injeerd nic nie odpowiedziała, cofając się tylko z przestachem. Król uspokoił się trochę.

— Droga córko, — powiedział. — Czy nie wiesz o tem, że cię kocham? Jakże mam się oddać temu, kogo nienawidzę? Chcę, by towarzyszyły ci me życzenia serdeczne. Trzeba, bym mógł odwiedzać twoje pałace. Zwróć serce ku królowi innej ziemi, gdyż król Norwegji nigdy nie będzie twym mężem.

Zmieszana księżniczka, nie wiedząc, co odpowiedzieć królowi, rzekła:

— Nie prosiłam cię o to. Tak chciał naród.
A król ciągnął dalej:

— Czyż naprawdę uważasz króla szwedzkiego za niewolnika, który nie może rozporządzać swemi dziećmi? Czy rzeczywiście istnieje nad nim władza, która według swej woli wydawać może zamąż jego córki?

— A czy król szwedzki dopuści do tego, by go nazwano krzywoprzysięcą? — zapytała księżniczka.

Król szwedzki roześmiał się głośno.

Bądź spokojna. Nie nazwą. Czemu się o to troszczysz, ty, kobieta? W radzie mej zasiadają jeszcze ludzie rozumni. Znajdą oni jakikolwiek wykręt.

Król zwrócił się do swej świty, odzianej w stroje myśliwskie.

— Chcę zerwać tę obietnicę, — powiedział. — Chcę się uwolnić od tego zobowiązania!

Lecz nie odpowiedział mu nikt z przybocznych. Żaden nie mógł podsunąć mu rady.

Król się rozgniewał i nie panując nad sobą, krzyczał:

— Gdzie jest wasza zachwalana mądrość? Chcę się uwolnić! Jak można słać mądrość waszą?!

Król, krzyżąc, pieniał się z wściekłości, lecz nikt nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Nagle z pośród dziewcząt wysunęła się Astryd i zaproponowała mu pewien plan.

Lecz Jalte powinien wiedzieć, że zrobiła to tylko dlatego, że było jej wesoło i zabawną wydała się myśl, że plan ten mogą skutecznie.

— Dlaczego mnie nie pošlesz? — zapytała

Astryd króla. — Przecież jestem również twoją córką. Dlaczego masz mnie nie posłać do króla Norwegji?

Zaledwie zdążyła to powiedzieć, gdy Injeerd zbladła śmiertelnie.

— Milcz i idź precz! — z gniewem krzyknęła Injeerd. — Odejdź i trzymaj język za zębami! Złośnico wstrętna! Jak śmiesz proponować ojcu mojemu podobną hańbę?!

Jednak ojciec nie odpędził Astryd. Przeciwnie! Wyciągnął ramiona i przytulił ją do swych piersi. Ona zaś śmiała się i płakała, szalała z radości, jak małe dziecko.

— O! zawołał król. — To pomysł! To figiel pogański! Astryd na imię będzie Injeerd. Zmusimy króla norweskiego, by ją poślubił. A potem, gdy rozniesie się w kraju, że jest niewolnicą — wiele się osób ucieszy. I dowcipnie będą się wyśmiewali z tego idjoty!

Injeerd podeszła do króla i zaczęła prosić:

— Ojcze, ojczy, nie rób tego? Z całej duszy kocham króla Olafa i będzie dla mnie bardzo bolesnem, jeśli go oszukają;

Powiedziała, że z pokorą spełni wolę króla i wyrzeknie się tego małżeństwa. Niech tylko nie robi tego, niechaj nie robi.

Jednakże król nie zwracał uwagi na jej prośby. Zwrócił się do Astryd, którą pieścił, jak wcielenie swej zemsty.

— Ty pojedziesz, prędko pojedziesz, nawet

jutro, — mówił. Prawdopodobnie mamy jakiś wykupowany okręt. Co się zaś tyczy posagu i świty, córko kochana, to można będzie to wszystko jakkolwiek załatwić. Król norweski nie myśli o tem wcale. Cieszy się, że pojmie za żonę dostojną córę króla szwedzkiego.

Po tych słowach Injeerd zrozumiała, że postanowienie jego jest niezachwiane. Podeszła do siostry, objęła ją i uprowadziła do swoich komnat. Posadziwszy ją na własnym, wysokim fotelu, sama usadowiła się u jej stóp na ławeczce. Chciała, by Astryd siedziała tam i uczyła się zajmować pierwsze miejsce. Powinna czuć, że należy jej się miejsce królowej. Injeerd nie chciała, by król Olaf rumienił się za żonę.

Następnie posłała inne dziewczęta do piwnic po swoją wyprawę. Wszystkie swe rzeczy podarowała siostrze, by Astryd nie stanęła przed królem norweskim, jak biedna niewolnica.

Wskazała, którzy z pośród sług i służebnic towarzyszyć będą Astryd i podarowała jej wreszcie swój piękny okręt.

— Ależ musisz wziąć mój okręt, — tłumaczyła. Wiesz, jak dobrych ma wioślarzy. A chcę, byś godnie przybyła do króla Norwegji, by mógł się chlubić ze swej królowej.

Księżniczka długo siedziała z siostrą, rozmawiając o królu Olafie. Mówiła o nim, jak mówi się o świętych, a nie o królach. Lecz Astryd zrozumiała niewiele. Zrozumiała tylko, że córka królewska

chciała w nią wmówić wszystkie swe szlachetne myśli, by król Olaf nie stał się pośmiewiskiem, jak tego pragnął jej ojciec.

I Astryd, która nie była tak złą, jak przypuszczano, zapomniała ile musiała cierpieć z powodu siostry i żałowała, że nie może powiedzieć :

— Ja nie chcę jechać!

Zwierzyla się z tem nawet przed księżniczką i obydwie zapłakały razem i stało się to poraz pierwszy, odkąd się dowiedziały, że są siostrami.

Jalte powinien jednak zrozumieć, że Astryd nie należy do tych, którzy się rozmyślają i wahają. Wypłynawszy na pełne morze, zapomniała o wszelkich niepokojach i troskach. Jechała, jak władczyni, usługiwano jej, jak królewskiej córce. Poraz pierwszy od śmierci matki czuła się szczęśliwą.

Skończywszy swe opowiadanie, piękna córka królewska umilkła na chwilę. Bystro spojrzała na Jalte, który siedział nieruchomo w czasie jej opowiadania. I zbladła, zobaczywszy, jakie cierpienie malowało się na twarzy Jalte.

— Powiedz mi, co myślisz, Jalte! — zawołała. — Oto podjeżdżamy do Kungachelli. Co się tam ze mną stanie? Czy król mnie zabije? Czy odeśle z powrotem, napiętnowawszy rozpalonem żelazem? Jalte, powiedz mi prawdę!

Lecz Jalte nie odpowiadał. Siedział i nie zdając sobie z tego sprawy, mówił do siebie. Astryd słyszała, jak mruczał, że w Kungachelli nikt nie zna Injeerd, a sam on nie ma najmniejszej ochoty tam wrócić.

Nagle Jalte zwrócił na Astryd swe ponure wejrzenie. Starzec zaczął ją badać. Była chwila, gdy żalowała, że nie posiada władzy, by zaniechać swej podróży. Teraz, przyjechawszy do Kungachelli, ma zupełną swobodę czynu. Jak zamierza postąpić? Czy ma zamiar powiedzieć królowi Olafowi, kim jest?

Pytanie to ogromnie zmieszało Astryd. Milczała długo, a potem zaczęła prosić, by Jalte pojechał z nią do Kungachelli i całą prawdę powiedział królowi. Zakomunikowała mu, że marynarze i słudzy złożyli przysięgę milczenia.

— A co zrobię sama — nie wiem, — dodała. — Czy mogę przewidzieć, co się stanie? Słyszałam przecież wszystko, co opowiadałeś Injeerd o Olafie Haraldsonie.

Astryd zobaczyła, że Jalte znowu pogrążył się w myślach. Słyszała, jak mruczał, że wątpliwe, by ją poznał ktokolwiek.

— Lecz muszę ją uprzedzić, z kim będzie miała do czynienia, — powiedział.

Jalte powstał i zaczął mówić z powagą wielką na twarzy:

— Astryd, posłuchaj jeszcze jednego opowiadania o królu Olafie, którego dawniej ci nie mówiłem. Przed laty król Olaf posiadał zaledwie kilka okrętów i kilku wiernych rycerzy i nie był jeszcze władcą państwa swych ojców. W owych czasach walczył z honorem na dalekich morzach, tępiąc rozbójników, broniąc kupców i oddając swój miecz na usługi książąt chrześcijańskich.

Pewnego razu śniło się królowi, że książe świata, jeden z pośród cudnych aniołów Bożych, zstąpił w nocy na jego okręt i podjął żagle tak, jak gdyby chciał płynąć na północ. Królowi wydało się, że droga ich nie trwała dłużej, niż chwilę, w czasie której gaśnie gwiazda, gdy rozbłyśnie zorza. I nagle ujrzeli skaliste wybrzeże, pocięte fiordami i obramowane mleczną pianą przyływu. Kiedy podплыnęli do brzegu, anioł wyciągnął ramię i przemówił srebrzystym głosem, zagłuszającym szum wiatru i dziki ryk fal, które statek przecinał z nadzwyczajną szybkością:

— Po wsze czasy będziesz władcą tej ziemi, królu Olafie!

Zaledwie te słowa przebrzmiały, król się obudził.

Jalte próbował wytłumaczyć Astryd, że podobnie jak świt łagodzi przejście od nocy do białego dnia, Bóg chciał, by król Olaf nie uniósł się pychą, sądząc, że sen wróży mu nadprzyrodzoną władzę. Król nie zrozumiał, że — zgodnie z wolą Bożą — powinien wiecznie rządzić Norwegją z wysokości niebiańskiego tronu, że królowie zmieniać się będą jeden po drugim, a święty król Olaf zawsze rządzić będzie swym krajem.

Król ze wzruszenia rozumował niezupełnie prawidłowo i, jak twierdzi Jalte, wytłumaczył sobie przepowiednię anioła w ten sposób, że potomkowie jego będą zawsze panowali w tym kraju, który wskazał mu anioł. Zdawało mu się, że poznał pań-

stwo swego ojca Pospieszył więc tam. Szczęście uśmiechnęło mu się i wkrótce został jego władcą.

— A więc, Astryd, stało się! Dla wszystkich jest widocznem, że król Olaf obdarzony jest siłą niebiańską, lecz waha się ciągle i uważa, że przeznaczonem jest mu tylko panowanie nad królestwem ziemskim. Nie stara się o koronę świętego. Lecz bliską jest godzina, gdy będzie musiał zrozumieć swoje posłannictwo. Bliską jest ta chwila!

Stary skald mówił dalej, a dusza jego i czoło jaśniały światłem wewnętrznem.

— Czy poza Injeerd istnieje kobieta, której nie odepchnie od siebie, gdy przejrzy i zrozumie słowa anioła, że będzie królem Norwegji po wieczyste czasy?

I znowu Jalte odwrócił się do Astryd i spytał surowo:

— Odpowiedz, czy rzeczywiście nie wyznasz prawdy królowi Olafowi?

Astryd przestraszyła się i odpowiedziała z pokorą:

— Dlaczego nie chcesz towarzyszyć mi do Kungachelli? Będę wtedy zmuszona przyznać się do wszystkiego. Przyrzekłabym spełnić twe życzenie, gdybym miała zamiar oszukać króla. Gdybym rzeczywiście pragnęła tego, to namówiłabym cię, byś jechał dalej. Lecz wiesz, że jestem słabą. Proszę cię więc tylko: jedź ze mną.

Twarz Jalte zapałała strasznym gniewem.

— Z jakiej racji mam ci pomagać w ratowaniu się przed gorzkim losem? — zapytał.

Powiedział, że uważa ją za niegodną współczucia. Nienawidzi jej za grzech spełniony względem siostry. Jest złodziejką. Chce zagarnąć męża Injeerd. Nawet tak zahartowany rycerz, jak Jalte, jęczy boleśnie na myśl, jak musiała cierpieć księżniczka. Astryd jednakże nie czuje tego. Powiększyła jeszcze cierpienia szlachetnej dziewczicy i myślała tylko o własnej przyjemności. Biada Astryd! Ach, biada jej!

Astryd słyszała, jak głos Jalte przeszedł w ponury szept, jak gdyby wymawiał jakieś zaklęcie.

— Tyś to zepsuła pieśń moja najpiękniejszą! — zawołał. — Najpiękniejszą pieśnią, ułożoną przez starego Jalte, była ta, w której chciał opiewać najlepszą z kobiet i największego z pośród bohaterów. Lecz ty zepsułaś pieśń, zmieniłaś ją w bezsens, więc cię ukarzę, djabelskie plemie! Ukarzę tak, jak Bóg Ojciec ukarał kusiciela za wprowadzenie grzechu na jego świecie. Ja cię ukarzę!

— I nie prosź mnie, kobieto, bym ci towarzyszył, — mówił dalej, — i bronij cię przed samą sobą! Wyobrażam sobie, jak cierpi księżniczka z powodu gry, którą prowadzisz z królem Olafem. Ze względu na nią i ze względu na mnie musisz być ukaraną. Nie pojedę zdradzić twej tajemnicy! To jest moja zemsta, Astryd! Ja cię nie wydam!

— Ty zaś pojedziesz do Kungachelli i jeśli nie powiesz prawdy, zostaniesz żoną króla. Lecz potem

zmijo, dosięgnie cię zemsta! Znam króla Olafa i znam ciebie. Życie stanie ci się ciężarem i codziennie będziesz pragnęła śmierci!

Powiedziawszy to, Jalte odwrócił się i wyszedł.

Astryd siedziała długo, myśląc nad tem, co musiała wysłuchać. Potem na ustach jej ukazał się uśmiech. Stary Jalte zapomniał, że poznała już ona wszelkie cierpienia, że nauczyła się uśmiechać podczas tortur. Lecz szczęścia, szczęścia nie zaznała jeszcze nigdy.

Astryd wstała i podeszła do otworu w namiocie. Zobaczyła, że okręt gniewnego Jalte płynie na zachód. Zdawało jej się, że hen, daleko widać zarysy mglistej Islandji, która chłodem i ciemnią powita swego syna, wracającego z dalekiej podróży.

III.

Piękny jesienny dzień. Na niebie ani chmurki. Taki dzień, kiedy się zdaje, że kochane słońce odda ziemi wszystkie swoje promienie. Kochane słońce podobne jest do matki, która odprowadza syna i w godzinę rozstania nie może oderwać oczów od swego ulubieńca.

W dolinie, w której leży Kungachella, znajdują się okrągłe wzgórza, porośnięte bukowymi lasami. Jesienią las mienił się takimi kolorami, że nie można było patrzeć nań bez zachwyty. Zdawało się, że drzewa nałożyły szaty godowe, ustroiły się w złoto

i purpurę, by swą wspaniałością ujarzmić serca bogatych oblubienic.

Wielka wyspa Chisingen na drugim brzegu rzeki wystroiła się również. Stały tam złocisto-białe brzozy. Jasne sylwetki drzew Chisingenu przypominały nowożeńców.

A do ujścia rzeki, która tak dumnie i szumnie wpada do morza jak gdyby deszcze jesienne wypełniły ją pianistem winem, wpływają jeden za drugim okręty, powracające z dalekich krajów. Zbliżając się do Kungachelli, zamiast codziennych, szarych — wciągają nowe, białe żagle. Mimo woli przypominają się podania o królewiczach, którzy wyruszają w świat na poszukiwanie przygód w łachmanach żebraczych, lecz zrzucają je, wracając do wysokiego, królewskiego pałacu.

Cała ludność Kungachelli gromadzi się na przystani. Starzy i młodzi pomagają wyladowywać z okrętów towary. Napęniają śpichrze solą i cenną bronią. Wciągają na ląd łodzie i okręty i wypytyują powracających o szczegóły podróży.

Nagle cała praca ustaje i wszyscy zwracają swe spojrzenia na rzekę.

Pomiędzy ciężkimi statkami handlowymi ukazuje się wielki okręt. Ludzie zastanawiają się, czyje mogą być te herby i żagle, obramowane purpurowym brzegiem. Wszyscy pytają, do kogo może należeć ten okręt, który się zbliża z szybkością ptaka i jak ptak lekko sunie po wodzie. Wszyscy zachwycają się wio-

ślarzami, którzy tak rytmicznie unoszą wiosła, błyszczące po bokach okrętu, jak orle skrzydła.

— To widocznie szwedzka królowa, — mówi. — To widocznie piękna królowa Injeerd, na którą czekał Olaf Haraldson i lato całe, i całą jesień.

Kobiety śpieszą na pomosty, by zobaczyć księżniczkę, kiedy podpłynie do przystani królewskiej. Mężczyźni i chłopcy wskakują na okręty lub na dachy krytych łodzi.

Ujrzawszy księżniczkę, stojącą na pokładzie okrętu w wspaniałej szacie, kobiety witają ją okrzykami. A mężczyźni na widok jej pięknej, uśmiechniętej twarzy obnażają głowy, podrzucając do góry czapki.

A na dole, na przystani królewskiej stoi sam król Olaf. Kiedy zobaczył księżniczkę, twarz jego i oczy rozjaśniła cicha, pieszczotliwa radość.

Z powodu późnej jesieni przekwitły już wszystkie kwiaty. Dlatego też młode dziewczęta przynoszą z lasu czerwono-żółte liście i usypują nimi przystań i ulicę. Z pośpiechem ozdabiają ściany domów barwną jarzębiną i ciemno-czerwonymi liśćmi osiny.

Księżniczka z wysokości swego okrętu patrzy na witający ją lud i czerwono-żółte liście, po których ma przejść. A zdala na przystani widzi uśmiechającego się do niej króla.

I księżniczka zapomina o wszystkim, co miała wyznać i zaco pokutować. Zapomina, że nie jest Injeerd. Zapomina o wszystkim prócz tego, że musi zostać żoną Olafa Haraldsona.

Pewnej niedzieli Olaf Haraldson siedział przy obiedzie obok swej pięknej królowej. Rozmawiając z nią z ożywieniem, oparł łokcie na stole tak, że widział jej twarz.

Lecz kiedy mówiła Astryd, król spuszczał oczy, by móc się lepiej wsłuchiwać w dźwięk miłego głosu.

Astryd mówiła długo i król machinalnie zaczął strugać nożem deskę stołu. Dworzanie króla Olafa wiedzieli, że nie czyniłby tego, gdyby przypomniał sobie, że jest to niedziela. Lecz zanadto kochali króla i nie chcieli zwracać mu uwagi, że grzeszy.

Im dłużej mówiła Astryd, tem większe stawało się zniecierpliwienie dworzan. Królowa widziała, że rzucają na siebie rozgoryczone spojrzenia, lecz nie rozumiała o co chodzi.

Wszyscy skończyli jeść, potrawy zostały sprzątnięte, a król wciąż siedział i, rozmawiając z Astryd, strugał stół. Przed nim wznosiła się już cała górka wiórek.

Milczenie przerwał wreszcie przyjaciel króla Björn, syn Ogura Syleńskiego.

— Jaki dzień mamy dzisiaj Ejmorze, — zapytał, zwracając się do jednego z paziów.

— Jutro jest poniedziałek, — odpowiedział Ejmor donośnym, jasnym głosem.

Król podniósł głowę i sporzał na Ejmora.

— Mówisz, że jutro poniedziałek, — powtórzył z zadumą.

Powstał bez słowa, zgarnął w rękę wszystkie leżące na stole wiórki, podszedł do komina, wziął pa-

łąca się głównie i przyłożył do wiórek, które zapaliły się odrazu. Król trwał w milczeniu, aż póki na jego rękę nie zamieniły się w popiół.

Przybocznicy cieszyli się, a młoda królowa zbladła, jak płótno.

— Jakże surowo sądzić mnie będzie, — myślała, — kiedy się dowie o mojem przestępstwie, jeśli siebie karze tak okrutnie za błahostkę!

Akke z Gordarike leżał chory na swym żaglowcu w porcie Kungachelli. Leżał w ciasnej kajucie i czekał śmierci. Oddawna już bolała go noga, a teraz otworzyła się rana i w ciągu ostatnich kilku godzin noga zaczęła czernieć.

— Nie powinieneś umierać, Akke, — mówił do niego Ludolf z Kungachelli, który przyszedł go odwiedzić w kajucie. — Czy nie wiesz, że król Olaf jest tutaj w mieście i że Bóg mu dał wielką siłę w spełnianiu świętych i pobożnych dzieł? Poproś, by przyszedł i ręce swe złożył na tobie. Zostaniesz wtedy uzdrowiony.

— Nie, nie mogę prosić go o pomoc, — powiedział Akke. — Olaf Haraldson nienawidzi mnie, gdyż zabiłem jego przybranego brata, Reuera Białego. Gdyby wiedział, że jestem tutaj w porcie, zgładziłby mnie ze świata.

Kiedy Ludolf rozstał się z Akke i wracał miejską ulicą, spotkał młodą królowę, która chodziła do lasu, by narwać orzechów.

— Królowo! — zawołał Ludolf. — Powiedz kró-

lowi Olafowi: Akke z Gordarike, który zabił twego przybranego brata, umiera na swoim żaglowcu tutaj w porcie.

Piękna królowa śpiesznie udała się do domu i podeszła do króla Olafa, który stał na podwórzu i siedział swego konia.

— Pozdrawiam cię, królu Olafie, — powiedziała. — Akke z Gordarike, który zabił twego przybranego brata, leży chory na swoim żaglowcu tutaj w porcie i oczekuje śmierci.

Olaf Haraldson z pośpiechem odprowadził konia do stajni. Następnie wyszedł na ulicę bez miecza i hełmu. Szybkimi krokami szedł do samego portu. Tam — odszukał żaglowiec, należący do Akke i nim ktokolwiek zdążył go zatrzymać, był już w kajucie chorego.

— Akke, — powiedział król, — wiele razy starałem się pochwycić cię na morzu, lecz zawsze zdołałeś mi się wymknąć. Teraz zachorowałeś tutaj, w moim mieście. Uważam to za znak, że Bóg oddaje twoje życie w me ręce.

Akke nie odpowiadał. Siły opuściły go zupełnie i czuł zbliżającą się śmierć.

Olaf Haraldson wsparł swe ręce na jego piersiach i zaczął się modlić do Boga.

— Panie, — prosił, — daruj mi życie mojego wroga!

A królowa, zobaczywszy, że król spieszył do portu bez miecza i hełmu, weszła szybko do pałacu,

wzięła broń jego, wezwała kilku ludzi i wyruszyła w ślad za nim.

Stojąc przed drzwiami maleńkiej kajuty, słyszała, jak król modlił się za chorego. Patrzyła na Akke i króla, nie zdradzając swojej obecności. Zobaczyła, że gdy król dotknął rękami czoła i piersi chorego, odrazu znikła bladość jego twarzy, zaczął równo i lekko oddychać, przestał się skarżyć i wreszcie zasnął spokojnie.

Astryd cichutko wróciła do królewskiego pałacu. Miecz króla z trudem wlokła za sobą. Twarz jej była bledszą, niż przed chwilą twarz umierającego, a z ust jej wydobywał się chrapliwy oddech.

Rano, w dzień Wszystkich Świętych król Olaf wybierał się na sumę. Opuścił swe komnaty i szedł przez podwórze ku bramie. Na podwórzu stali dworzanie, którzy mieli mu towarzyszyć do kościoła. Zobaczywszy króla, uszykowali się w dwa rzędy i król przeszedł pomiędzy nimi.

Astryd stała na waziutkim balkonie wieżyczki i patrzyła wdół na króla. Na głowie miał szeroką, złotą przepaskę, a ubrany był w długi, czerwony płaszcz aksamitny. Król szedł w milczeniu z wyrazem uroczystego spokoju na twarzy. Astryd przeraziła się, zauważywszy, jak bardzo jest podobny do rzeźbionych w drzewie figur świętych i królów, które zdobiły kościół Najświętszej Panny.

Przy bramie stał człowiek w kapeluszu z dużym rondem, otulony w szeroki płaszcz. Kiedy król

podszedł do niego, nieznajomy odrzucił płaszcz i wzniosł z rozmachem na króla obnażony miecz, który ukrywał pod płaszczem.

Lecz spotkawszy jasne, łagodne spojrzenie króla Olafa, stanął jak wryty, upuścił miecz i padł na kolana.

Król Olaf zatrzymał się i patrzył na niego tym samym jasnym wzrokiem, a nieznajomy starał się odwrócić oczy, lecz nie mógł. Wreszcie zapłakał głośno.

— O, królu Olafie, królu Olafie! — wołał przez łzy. Wrogowie twoi nasłali mnie, bym cię zabił. Lecz gdy ujrzałem świętą twarz twoją, miecz wypadł mi z rąk. Oczy twoje, królu, zdruzgotały mnie!

Astryd na swym balkonie upadła na kolana.

— Boże, ulituj się nademną grzeszną! Biada mi, biada, że za pomocą oszustwa zostałam żoną tego człowieka.

IV.

W Wszystkich Świętych była noc księżycowa. Król obszedł całe podwórze, zajrzał do stajni i chlewu, by się przekonać, czy wszystko w porządku, zaszedł nawet do domu, w którym mieszkali słudzy i niewolnicy, chcąc sprawdzić, czy dobrze ich żywią.

Wracając do swych komnat, zobaczył, że jakaś kobieta w czarnym płaszczu z kapturem na głowie skrada się przez podwórze do bramy. Wydało mu się, że zna tę kobietę i udał się za nią. Kobieta minęła

bramę, przeszła przez plac targowy i zniknęła w jednym z wąskich zaułków, idącym ku rzece.

Olaf bezszumnie szedł za nią. Widział, jak weszła na jedną z wysokich przystani, zatrzymała się i patrzyła na wodę. Westchnęła potem ciężko, podniosła do góry ramiona i przysunęła się do samego brzegu pomostu. Król zrozumiał, że chce rzucić się do wody.

Zbliżył się więc do niej cichymi krokami, czego nauczył się za czasów przeżywanych niebezpieczeństw. Kobieta już dwa razy unosiła nogę, by skoczyć do wody, lecz wahała się jeszcze. Nie czekając na nową próbę, Olaf Haraldson chwycił ją i uprowadził dalej na pomost.

— Nieszczęśliwa! — zawołał. — Chcesz zrobić to, co Bóg nam zakazał!

Usłyszawszy głos jego, kobieta zakryła twarz rękami. Lecz król Olaf zdążył ją już poznać. Szelst jej sukni, kształt głowy, błysk pierścieni na palcach — wszystko mówiło, że jest to królowa.

W pierwszej chwili Astryd chciała się wyrwać z jego ramion, potem spokorniała odrazu i starała się przekonać króla, że nie miała zamiaru porwać się na swoje życie.

— O królu Olafie, dlaczego tak skradałeś się za biedną kobietą, która chciała się zachwycić odbiciem księżycy w rzece?

Głos Astryd brzmiał żartobliwie i spokojnie. Król milczał.

— Mogłeś mnie tak przestraszyć, że wpadłabym

do wody, — ciągnęła Astryd. — Nie przypuszczasz przecież, że chciałam się utopić!

Król odpowiedział:

— Nie wiem, co sądzić. Niech Bóg mnie oświeci!

Astryd roześmiała się i pocałowała go.

— Czy ktoś tak szczęśliwy jak ja, odbiera sobie życie? Czy w niebie zdarza się samobójstwo?

— Nie rozumiem, — spokojnie odpowiedział król. — Lecz Bóg mnie oświeci. Wskaże mi On, czy moją jest winą, że chciałaś popełnić podobny grzech.

Astryd zbliżyła się do niego i pogłaskała po twarzy. Szacunek, który miała dotąd dla króla, powstrzymywał ją od uzewnętrzniania swej czulej miłości. Teraz zaś przytuliła się do niego gorąco, zasypując pocałunkami. I znowu zaczęła mówić cichym, pieszczotliwym głosem.

— Posłuchaj, jak silnym jest me przywiązanie do ciebie, — powiedziała.

Zmusiła króla, by usiadł na przewróconej łodzi, sama zaś uklękła przed nim.

— Królu Olafie, — mówiła. — Nie chcę być dłużej królową. Kochając tak jak ja, królową być nie można. Chcę, byś osiadł w gęstwinie leśnej i pozwolił mi być twą niewolnicą. Będę ci służyć od rana do wieczora.

— Będę warzyła ci strawę, prześcielała twe łóżce, strzegła twego szałas, kiedy będziesz spał. Nikt prócz mnie nie powinien ci usługiwać. Wieczorem, gdy będziesz powracał z łowów, wyjdę na twoje spot-

kanie, uklęknę pośród drogi i powiem: „Królu Olafie, życie moje do ciebie należy!” — A ty się uśmiechniesz, oprzesz mi włócznię na piersiach i powiesz: „Tak, życie twe do mnie należy. Moją jesteś. Nie masz ani ojca, ani matki i życie twe w moich jest rękach”.

Mówiąc to, Astryd dla żartu wyciągnęła z pochwy miecz króla, rękojeść włożyła mu do ręki, a ostrze oparła na swojej piersi.

— Powiedz mi tak, królu Olafie, — prosiła. — Jak gdybyśmy naprawdę byli sami w lesie, a ja jestem twoją niewolnicą. Powiedz: „Twoje życie do mnie należy!”

— Życie twoje należy do Boga, — odpowiedział król.

Astryd roześmiała się cicho.

— Moje życie do ciebie należy, — powtórzyła z przedziwną czułością w głosie.

W tej samej chwili król poczuł, że Astryd usiłuje zagłębić ostrze miecza w swem sercu. Lecz król, mimo, że był to żart, mocno trzymał rękojeść miecza. Szarpnął go silnie i Astryd nie zdążyła się zranić.

Król zerwał się z miejsca. Poraz pierwszy w życiu drżał ze strachu. Zrozumiał, że królowa chciała umrzeć z jego ręki i że omal nie udało jej się skutecznie swojego zamiaru.

Nagle olśniła go myśl, pod wpływem której zrozumiał powód rozpaczony Astryd.

— Ona zgrzeszyła, — pomyślał. — Nie ma spokojnego sumienia.

Pochylił się ku Astryd i zapytał:

— Powiedz mi, jaki popełniłeś grzech?

Astryd upadła na nieobciosane belki pomostu i rozplakała się beznadziejnie.

— Nie płaczą tak ci, którzy są bez winy, — pomyślał król. — Lecz skąd rozpacz podobna u szlachetnej córki królewskiej? Jak mogła wysokourodzona Injeerd popełnić zły czyn?

— Injeerd, powiedz mi, jaki popełniłeś grzech? — zapytał znowu.

Ścisnięte od łkania gardło nie pozwoliło odpowiedzieć Astryd. Więc zamiast odpowiedzi zdjęła błyszczące bransolety, pierścienie i odwracając głowę, podała je królowi.

Król pomyślał, że wszystko to nie jest podobne do szlachetnej córki królewskiej, o której opowiadał mu Jalte.

— Czyż naprawdę owa ta Injeerd płacze u moich stóp? — pytał sam siebie.

Nachylił się nad Astryd i, kładąc jej rękę na ramieniu, zapytał:

— Kto ty jesteś? Kto ty? — pytał, wstrząsając jej ramię.

Astryd płakała jeszcze tak silnie, że słowa nie mogła z siebie wydobyć. Lecz chcąc odpowiedzieć na zadane pytanie, rozpuściła swoje długie włosy, jednym pasmem przewiązała swe ręce i wyciągnęła je do króla. Trwała tak ze zgiętymi plecami i schyloną głową.

Król pomyślał:

— Przyznaję się, że należy do liczby tych, któ-

rzy noszą kajdany. Chce powiedzieć, że jest niewolnicą.

I znowu w głowie króla Olafa powstała myśl, która wyłomaczyła mu wiele.

— Przecież król szwedzki ma córkę, zrodzoną z niewolnicy? — zapytał nagle.

Zamiast odpowiedzi usłyszał tylko silniejsze łkanie.

— Czy może król szwedzki nie zechciał mi oddać córki królowej, a przysłał córkę służebnicy?

Znów nie otrzymał odpowiedzi, lecz widział, że Astryd drży i trzęsie się, jak w febrze. Wtedy król Olaf zadał jeszcze jedno pytanie:

— Czyżbyś ty, którą uczyniłem swą żoną, miała tak spodloną duszę, że z twoją pomocą mogli podeptać honor człowieka? Czy jesteś spodloną do tego stopnia, by cieszyć się, kiedy wrogowie będą się igrawali z oszukanego?

Astryd poznała po głosie króla, jak silnie odczuł otrzymaną obelgę. Zapomniała wtedy o własnem cierpieniu, przestała płakać, wołając:

— Weź moje życie!

Król Olaf odczuł silną pokusę.

— Zabić występna niewolnicę! — szeptał mu dawny, grzeszny człowiek. — Pokaż królowi szwedzkiemu, co znaczy drwić z króla Norwegji!

W chwili tej Olaf Haraldson nie czuł ani kropli miłości ku Astryd. Nienawidził ją, jako narzędzie swego poniżenia. Wiedział, że zyska ogólne uznanie, jeśli złem za złe odpłaci. Jeżeli zaś nie pomści znie-

wagi — wyśmieją go wszyscy skałdowie, a wrogowie obawiać się go przestaną.

Miał tylko jedno pragnienie: — rozdeptać, zabić Astryd.

Gniew jego był tak silnym, że łaknął krwi. Przecież gdyby jakiś błazen wepchnął mu na głowę swą czapkę z dzwonekami, czy nie rozerwałby go na strzępy? Nie rzucił o ziemię i nie rozdeptał nogami?!

I jeżeli odeśle do ojca krwawy trup Astryd na jej własnym okręcie — wszyscy powiedzą, że jest godnym następcą wielkiego króla Haralda.

Król Olaf stał ciągle z mieczem w ręku, czując pod palcami rękojeść, na której kazał kiedyś wyryć złoty napis: „Błogosławieni pokój czyniący! Błogosławieni cisi! Błogosławieni miłosierni!” I za każdym razem w chwili walki wewnętrznej chwytając miecz, by zabić Astryd, wyczuwał dłonią te słowa. Zdawało mu się, że czuje każdą pojedynczą literę. Przypominał sobie dzień, kiedy poraz pierwszy usłyszał te słowa.

— Powinny być wypisane złotymi literami na rękojeści mojego miecza, — powiedział, — i palić mi dłoń, jeśli go podnieść zechcę w uniesieniu, lub w nieuczciwej sprawie!

Teraz czuł, że rękojeść miecza pali mu dłoń. Król Olaf głośno powiedział do siebie:

— Dawniej byłeś sługą wielu namiętności. Obecnie jedynym twym władcą — Bóg.

Mówiąc to, wsunął miecz do pochwy i zaczął chodzić tam i z powrotem po pomoście.

Astryd jak gdyby zastygła w tej samej pozycji. Król Olaf widział, że drżała w śmiertelnym strachu, ile razy obok niej przechodził.

— Nie zabiję cię, — powiedział do niej, lecz w głosie jego słyhać było okrutną nienawiść.

Czas jakiś jeszcze król chodził po pomoście. Potem zatrzymał się przy Astryd i również ostrym głosem zapytał, jakie jest jej prawdziwe imię. I Astryd mogła mu już odpowiedzieć.

Król Olaf widział, jak kobieta, którą cenił tak bardzo, leży teraz na deskach, niby zagnane zwierzę. Patrzył na nią z takim współczuciem, z jakim dusza człowieka zmarłego może patrzeć na ciało, które zamieszkiwała przedtem.

— O ty duszo moja! — wykrzyknął król. — Żyłaś tutaj otoczona miłością, a teraz bezdomną jesteś, jak ostatni z żebraków!

Zbliżył się do Astryd i zaczął mówić tak, jakby już była nieżywą i nie mogła słyszeć jego słów.

— Opowiadano mi, że jest na świecie córka królewskiego, która ma tak wzniosłe i święte serce, że pokój przenika tych, którzy się do niej zbliżą. Opowiadano mi o jej łagodności, będącej tak wielką, że ten, kto ją ujrzy czuje się tak pewnie, jak dziecię bezbronne przy matce. Gdy piękna ta kobieta, która teraz leży u mych nóg, przybyła do mnie, myślałem, że jest to Injeerd i pokochałem ją z całego serca — miłą była, wesołą i łagodząca me ciężkie chwile. Jeżeli czasem mówiła i postępowwała w sposób, którego nie oczekiwałem od

Injeerd, była mi zbyt drogą, bym zwątpił o niej. Zwy-
ciężyla mą duszę swą wesołością i swoją urodą.

Zamilkł i zamyślił się o tem, jak bardzo kochał
Astryd i jak razem z nią szczęście wstąpiło w próg
jego domu.

— Mógłbym jej przebaczyć, — przemówił znów
głośno. — Mógłbym ją znowu uczynić królową moją.
Mógłbym z uczuciem miłości ująć ją w swoje ramiona.
Lecz nie uczynię tego, mimo że dusza moja pozostanie
samotną. O ty, piękna kobieto, dlaczego jesteś wcie-
leniem kłamstwa? Nie masz w sobie szczerości i nie
można mieć do ciebie zaufania!

I dalej czyniłby jej wymówki, lecz Astryd w tej
chwili powstała.

— Nie mów tak do mnie, królu Olafie! — zawo-
łała. — Nie, lepszą jest śmierć. Przypomnij sobie,
że dążyłam do niej!

Potem próbowała Astryd powiedzieć kilka słów
na swoje usprawiedliwienie. Wytłomaczyła, że jadąc
do Kungachelli, nie miała zamiaru oszukiwania go.
Chciała tylko w ciągu kilku tygodni odgrywać rolę
królowej, by cieszyć się władzą i popłynąć na morze.
Po przyjeździe do Kungachelli miała zamiar powie-
dzieć, kim jest. Liczyła na to, że zastanie tam Jalte
i innych ludzi, którzy znali Injeerd. Nie przypusz-
czała na chwilę, że oszustwo swe będzie mogła dopro-
wadzić do końca. Lecz zły los zrządził, że wszyscy
znający Injeerd rozjechali się i samozwańcza księż-
niczka została wystawioną na pokusę.

— Ujrawszy cię, królu Olafie, — dodała, zapo-

mniałem o wszystkim na świecie. Myślałam, że zginę z radością, jeśli choć jeden dzień będę twoją żoną.

Król Olaf odpowiedział:

— Rozumiem. Zabawą było dla ciebie to, co ja uważałem za skończenie poważne. Nie pomyślałaś nigdy, co znaczy przybyć do mężczyzny i powiedzieć: „Jestem tą, której najbardziej pragniesz! Jestem szlachetnie urodzoną dziewczyną i dzielić ze mną los — jest największym honorem”. Okazuje się, że nie jesteś nią, tylko niewolnicą kłamliwą.

— Pokochałam cię w dniu, kiedy poraz pierwszy usłyszałam twe imię, — szepnęła Astryd.

Królu wyciągnął ku niej gniewnie zaciśnięte pięści.

— Wiedz Astryd, pragnąłem Injeerd tak, jak jeszcze żaden mężczyzna nie pragnął kobiety! Chciałem zaczepić się o nią, jak dusza zmarłego o aniołów, by wznieść się na niebiosa. Wierzyłem, że jest cnotliwą i że mi pomoże do osiągnięcia życia bez grzechu.

Skarżył się i opowiadał, jak dążył do zdobycia siły, właściwej wybrańcom Bożym, lecz sam jest zbyt słabym i grzesznym, by osiągnąć doskonałość.

— Królewska córka dopomogłaby mi, — mówił. — Podtrzymałaby mnie, ona piękna i święta. O Boże, gdziebym nie spojrzeł — wszędzie widzę grzeszników, gdzie pójdę — spotykam pokusę. Dlaczego nie dopuściłeś do przyjazdu tej, która nie ma w sercu ani jednej złej myśli? Łagodne jej oczy spo-

strzegłyby mą właściwą drogę. Gdybym chciał przestąpić przykazania Twoje — powstrzymałaby mnie tkliwa jej ręka.

Wielkie zmęczenie, bliskie omdlenia, ogarnęło Olafa Haraldsona.

— Mieć obok siebie człowieka dobrego — oto na co liczyłem, by nie błądzić samotnie pośród zła i ciemnoty, — powiedział Olaf Haraldson. — Teraz zaś czuję, że zgine. Nie mogę walczyć dłużej.

— Czy nie pytałem Boga, jaką mi drogę przeczynał?! — wykrzyknął król. — Do czego przeczyna mnie Władca Niebios? Czy przeczynonem mi zostać świętym i męczennikiem? Lecz obecnie, Astryd, o nic już pytać nie potrzebuję. Bóg nie zechciał mi dać tej kobiety, która mogłaby mnie wesprzeć w drodze życiowej. Teraz wiem już, że nie osiągnę nigdy korony świętego.

Król zamilkł w strasznej rozpacz. Wtedy Astryd, zbliżywszy się doń, powiedziała:

— Królu Olafie, wszystko, co mi powiedziałeś teraz, słyszałam już dawniej od księżniczki i Jalte, lecz nie chciałam wierzyć, że jesteś czemś więcej, niż zwykłym, odważnym bohaterem, lub szlachetnym królem. Dopiero spędziwszy kilka tygodni pod twoim dachem, nauczyłam się drzeć przed tobą. Nic na świecie, — mówiła dalej Astryd, — nie przeraziło mnie tak, jak świadomość, że jesteś świętym, gdy zobaczyłam palące się wióry na twojej dłoni, gdy ujrzałam, że wyzdrowiał chory na skutek twej modlitwy i miecz wypadł z rąk wroga twojego! Świado-

mość, że jesteś świętym, przeraziła mnie śmiertelnie i postanowiłam umrzeć, nim dowiesz się o dokonanem przemieszaniu oszustwie.

Król Olaf nie odpowiedział. Astryd spojrzała na niego. Miał oczy utkwione w niebo. Nie wiedziała nawet, czy słyszał jej słowa.

— Ach ta chwila, którą przeżywamy! — zawołała. — Bałam się jej we dnie i w nocy, odkąd przyjechałam tutaj. Lepiej było umrzeć, niż jej doczekać!

Olaf Haraldson wciąż milczał.

— Królu Olafie, — ciągnęła dalej Astryd, — chciałam coś uczynić dla ciebie, złożyć ci w ofierze me życie. Chciałam rzucić się do brudnej rzeki, byś nie miał obok siebie oszustki. Im więcej miałam dowodów twojej świętości, tym mocniej upewniałam się, że powinnam zniknąć. Święty Pański nie może mieć za żonę kłamliwej niewolnicy!

Król milczał jak i przedtem. Astryd spojrzała nań i zawołała:

— Królu Olafie, oblicze twe jaśnieje!

Podczas gdy Astryd mówiła, król miał widzenie. Ujrzał, jak gwiazdy opuściły swe miejsca i krążyły po niebie, jak rój pszczół. Nagle wszystkie znieruchomiały nad jego głową, tworząc jaśniejącą koronę.

— Astryd, — powiedział drżącym głosem, — Bóg mówił ze mną! Wyrzekłaś prawdę: zostanę świętym.

Głos załamał się mu ze wzruszenia, a oblicze promieniało pomimo nocy.

Ujrawszy jasność, okalającą jego głowę, Astryd wstała. Straciła ostatni promień nadziei.

— Teraz odejdę, — powiedziała. — Teraz, kiedy wiesz, kim jesteś — nie zniesiesz mojej obecności. Nie wspominaj mnie źle. Życie me całe upłynęło bez szczęścia i radości. Pomyśl: bito mnie i chodziłam w zgrzebnej koszuli. Przebacz mi, gdy będę daleko! Miłość moja nie sprawiła ci przecież krzywdy.

Kiedy Astryd w głębokiej rozpaczycy szła przez pomost, Olaf Haraldson ocknął się, jak gdyby ze swego zachwycenia i pośpieszył za nią.

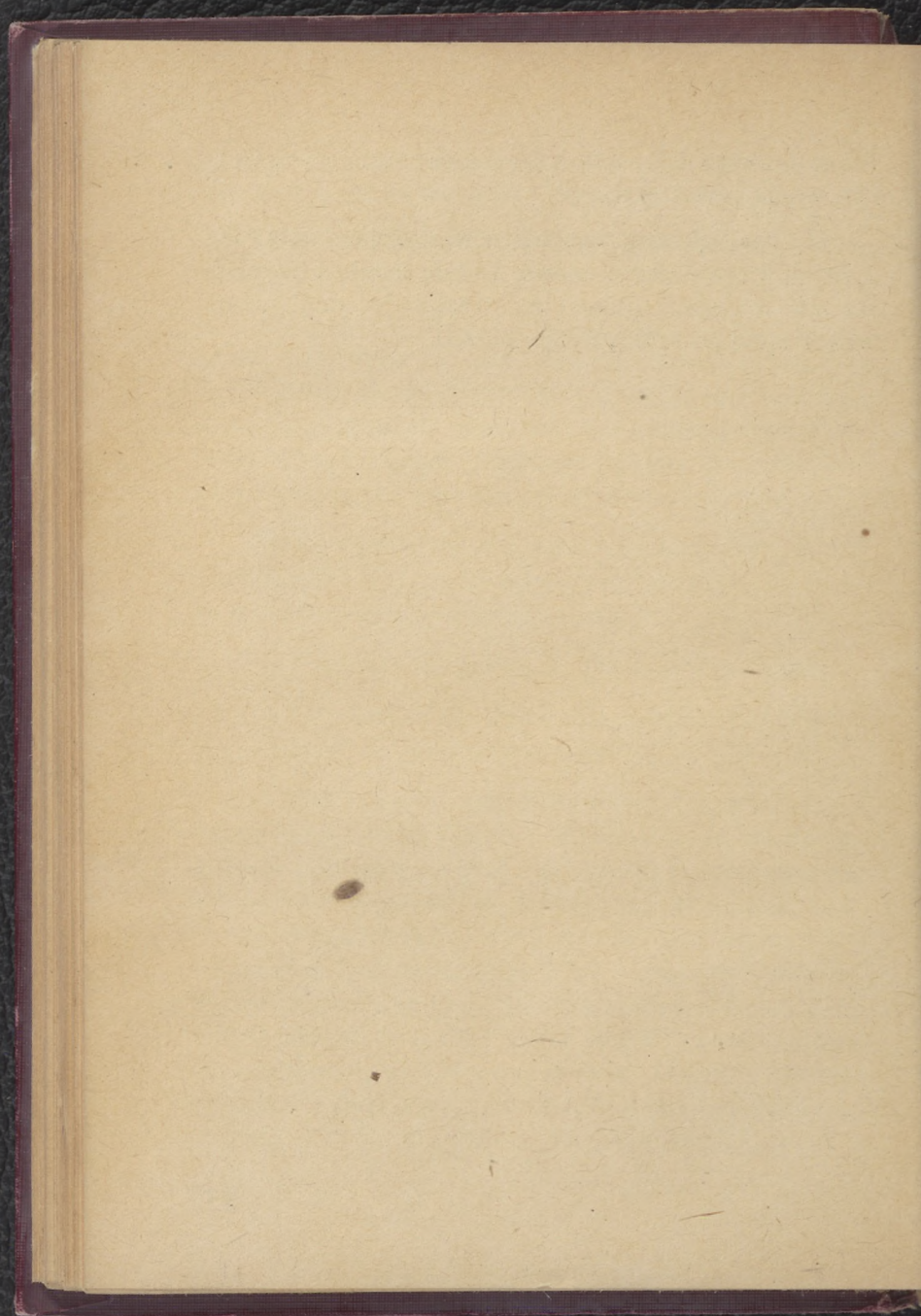
— Dlaczego odchodzisz? Dlaczego? — zapytał.

— Czy teraz nie powinnam odejść, gdy stałeś się świętym? — wyszeptała cicho.

— Nie, nie powinnaś odchodzić z tego powodu, — odpowiedział król Olaf. — Właśnie teraz, zdaje mi się, nie powinnaś. Aż do tej chwili byłem marnym człowiekiem i musiałem obawiać się wszelkiego zła. Byłem ubogim królem ziemskim, zbyt ubogim, by ofiarować ci moje przebaczenie. Lecz teraz z niebios spłynęło na mnie bogactwo. Ty jesteś słabą, lecz jam jest rycerz hufców Bożych. Kiedy się potkniesz — mogę cię podnieść. Jestem wybrańcem Bożym, Astryd, więc nie będziesz mi przeszkodą, a zato ja dopomóc ci mogę... Ach, co mówię?! W tej chwili Bóg wypę-

nił moje serce taką miłością, że nie rozumiem nawet,
czy winną jesteś grzechu!

Z największym współczuciem zbliżył się do
Astryd, która płacząc znowu, ledwie mogła utrzymać
się na nogach i obejmując troskliwie ramieniem,
wrócił z nią do królewskiego pałacu.



MARGARETA — ZWIASTUNKA POKOJU

Stało się to, gdy Margareta — Zwiastunka Pokoju, wybrawszy się konno do Norwegji, by poślubić króla Magnusa Bosego, przybyła do wsi Sturgord, leżącej na brzegu rzeki nieco powyżej Kungachelli.

Pierwsze ujrzały ją dwie staruszki — Karina Wüllüm i Walborg Toot, zbierające mech w olbrzymim lesie. Rzuciły swe tłomoki i pobiegły do wsi, by opowiedzieć, że po leśnej śnieżynce galopuje coś jasnego i pięknego, a pomiędzy drzewami widać strojnych ludzi. Lecz nikt im nie uwierzył.

— Biada oczom waszym przygąsłym, — mówili im ludzie. — To nie może być księżniczka. Pewnie mgła błotna tańczy między rdzawymi pniami sosen!

Niedługo po przybyciu staruszek, przybiegł, podskakując, Rasmus, syn węglarza. Oczy mu błyszczały i tak był zdyszany, że nie mógł wykrztusić ani jednego słowa. Lecz kiedy mógł już nareszcie mówić, krzyknął na całe gardło:

— Cieszcie się! Cieszcie się! Księżniczka jedzie! widziałem, jak mknie po lesie. Cieszcie się!

Rasmus, syn węglarza, zatrzymał się na trójkątnym placu pośród wsi, gdzie schodziły się trzy drogi. Stało tam kilku włościan, szepcząc między sobą, że wkrótce wybuchnie znowu wojna z Norwegją. Kiedy usłyszeli okrzyk Rasmusa, sądzili, że śmieje się on z ogólnego nieszczęścia.

— Milcz, łotrze! — zawołali, grożąc mu pięściami. — Milcz, jeśli ci życie miłe! Ani słowa więcej o tem, słyszysz, podrzutku!

Lecz Rasmus, syn węglarza, nie należał do tych, których łatwo można przekonać. Zaczął więc na nowo.

— Księżniczka jedzie! Słyszałem, jak świerką na jej powitanie milczące ptaki sosnowego boru. Kiedy przejeżdżała, wiewiórka zeskoczyła ze szczytu drzewa na najniższą gałąź i siedziała cichutko, z ogonem podniesionym do góry i błyszczącemi, jak węgle oczami. A cietrzew przeleciał z takim hukiem, jak gdyby piorun uderzył!

Zaledwie Rasmus zdążył to powiedzieć, kowal Per schwycił go za ucho.

— Księżniczka! — syczał. — Mówisz, że widziałeś księżniczkę! To był duch, rozumiesz? Piękny duch leśny! Księżniczka nie przyjedzie. Boże ulituj się! Księżniczka nie przyjedzie!

Chociaż nikt nie chciał wierzyć w tę pogłoskę, jednak obiegła już wioskę z szybkością błyskawicy i ludzie ze wszystkich stron zaczęli się schodzić na plac, by posłuchać, co mówi chłopiec.

Wieś Sturgord w ubiegłym roku została prawie

całkowicie spaloną w czasie wojny i większa jej część stanowiła czarne pogorzelisko, na którym z obawy przed wojną nikt nie miał odwagi budować nowego domu. Lecz z piwnic i izb podziemnych, wychodzili gnieźdzący się tam wycieńczeni, chudzi i obdarci ludzie. Szli, pogrążeni w głębokiem milczeniu i nie mieli odwagi zbliżyć się do syna węglarza, jak gdyby z obawy przysłuchiwania się temu, co mówi.

Kiedy kowal Per zauważył, że coraz więcej zbiera się ludzi, szarpnął tak silnie Rasmusa za ucho, że chłopiec krzyknął głośno. Równocześnie starał się go przekonać perswazją.

— Nie żartuj z nas, biednych włościan! Ciężkiem jest dla nas życie na granicy w czasach tak strasznych, kiedy królowie północy nie chcą zachować pokoju. Jesteśmy jak owce oddzielone od stada. Gnębią nas niedźwiedzie, grozi nam przepaść. Codziennie, w każdej chwili mamy przed sobą bezlitosne oblicze śmierci.

Podczas gdy kowal mówił, na plac napływały nowe tłumy włościan. Pośród nich był i niejaki Chalward. Jeszcze wczoraj był on tak pewny wybuchu nowej wojny, że wyniósł na wielką drogę swą skrzynię z pieniędzmi, proponując przechodniom, by czerpali z niej tyle, ile im się podoba. Przybyli również z Westgardu ludzie, którzy całe dziedzictwo ojcowie oddali za wino i zakąski i grzęźli w grzechu w oczekiwaniu wojny. Przyszli wreszcie i ludzie z małego chutoru na krańcu wioski, którzy niedawno

spalili własne siano i wyrznęli bydło, by Norwegowie nie mieli się czem pożywić.

Kiedy kowal zobaczył ich wszystkich milczących i nieruchomych, lecz z iskrami obłędu w oczach, przeraził się, by nie doszło do jakiegoś zajścia, jeśli dadzą się oszukać i uwierzą w zawarcie pokoju.

— Czy doprawdy nie rozumiesz, że był to duch leśny,—zwrócił się znowu do Rasmusa i to tak głośno, by wszyscy słyszeć go mogli. Duch błądzi po lesie, śmieje się, trzeszczy w gęstwinie i тумani oczy wam, węglarzom. Naturalnie, duch leśny wie o tem, że w przeszłym roku latem król Inje zawarł w Kungachelli zawieszenie broni z norweskim królem Magnusem. Wie również, że pokój miał być wzmocniony przez przybycie do Norwegji córki króla Inje, która miała poślubić Magnusa. Duch leśny rozumie doskonale, że wszyscy czekamy i wypatrujemy, czy nie jedzie dziewica pokoju. Dlatego też chce nas w błąd wprowadzić, przyjmując na siebie postać księżniczki. Duchy lubią podobne figle.

Rasmus, syn węglarza, stał spokojnie i z szacunkiem słuchał kowala Pera. Ten zaś, myśląc, że udało mu się przekonać chłopaka, pozwolił mu odejść. Lecz znalazłszy się na wolności, Rasmus krzyknął głośniej, niż przedtem:

— Księżniczka jedzie! Widziałem księżniczkę!

Chcąc wzbudzić większe zaufanie do swych słów, zaczął opisywać koronę, podobną do kwiatka osypanego kroplami rosy i czaprak, który gorzał na słońcu, jak czerwony muchomor.

Z pośród tłumu wysunęła się nagle stara Sygryd Tursdotter. Wykrzyknęła, potrząsając w powietrzu swym koszturą:

— Kto powiedział, że księżniczka jedzie? Ja jedna, wiem tylko, kto jedzie do nas! Całą zimę, sama samiuteńka przesiedziałam w chacie, patrząc, jak dym się głębi nad ogniskiem. I co wieczór dym pełen był widziadeł. Stał się przed moimi oczami, przybierając kształty ludzi w pancerzach, z włóczniami. Wiem, co to znaczy, gdy dym zaludnia się rycerzami. Są to wysłańcy tych, którzy w ciemną noc, kiedy będziemy spali, podkradną się do domów naszych. Śpiąc, nie będziemy słyszeli, że się zbliżają, a obudzimy się, kiedy czerwony kogut zapieje na dachu, gdy zaczniemy dusić się od dymu w domostwach naszych, kiedy za gorejącymi ścianami usłyszemy zwycięskie krzyki rycerzy norweskiego króla.

Słuchając Sygryd Tursdotter, ludzie drżeli z przerażenia. Lecz syn węglarza zastąpił jej drogę, mówiąc:

— Co mnie obchodzą kłęby waszego dymu? Widziałem księżniczkę! Jedzie na koniu w błyszczącej koronie!

Kowal Per, nie chcąc łudzić włóścian nadzieją, która się spełnić nie może, rzucił się na Rasmusa, zaciągnął go do kurnej izby, gdzie znajdowała się kuźnia, wepchnął go tam i założył wejście kamieniem, który służył za drzwi.

Rasmus jednak i tam nie przestawał krzyczeć:

— Widziałem księżniczkę! I wszyscy powinniście się cieszyć, że jedzie!

Nie zdążył jeszcze kowal Per wyprowadzić chłopca, gdy we wsi ukazał się człowiek wyjęty z pod prawa, który od wielu lat błąkał się w lesie. Podobny był do dzikiego zwierzęcia w swem ubraniu ze skór i najeżoną brodą. Lecz biegł, podskakując, śmiał się głośno, radośnie, wymachując nad głową zieloną gałązką, jak gdyby na znak pokoju. Obiegł całą wioskę, zatrzymując się przed każdym zwałem szerniałych ruin i krzyczał tak głośno, że można go było słyszeć i w ciemnych piwnicach, służących za mieszkanie.

— Księżniczka jedzie! Widziałem księżniczkę!

Wygnaniec, dobiegłszy do wielkiego podwórza Folke Lagman, obwoływał przyniesioną wieść równie, jak i przed innymi zagrodami. Lecz Folke Lagman, usłyszawszy jego słowa, wyszedł ze swej piwnicy stary, zgarbiony, i powiedział:

— Pokój z tobą, wygnańcze. Dlaczego przychodzisz do nas z kłamstwem na ustach? Chcesz, byśmy ci przebaczyli? I bez tego uwalniam cię od kary. Możesz więc nie wracać do lasu. Sami jesteśmy jako skazańcy i nie mamy potrzeby wyłączać kogoś z pośród nas.

— Dlaczego mi nie wierzysz? — zapytał wygnaniec. Czy nie wiesz, że król Inje obiecał przysłać na wiosnę dziewicę pokoju?

Starzec rzucił nań zmęczone, beznadziejne spojrzenie.

— Nie wiem nawet, czy wiosna nadeszła, — odpowiedział. — Przyjacielu mój. Dla nas, biednych włościan wszystko jest teraz jedno, czy wiosna, czy jesień na świecie. Obojętnem jest dla nas, czy śnieg leży na polach — nie będziemy ich orali. I niechaj nad nami gromadzą się chmury, niech ziarno leży w ziemi, nie puszczając kielków i nie dojrzewając. Nie będziemy ani siali, ani żęli. Siedząc bezczynnie, oczekujemy swej zguby.

Tymczasem z lasu przybywać zaczęli myśliwi i zbiegli niewolnicy, przynosząc wciąż nowe wieści ludowi, zgromadzonemu na trójkątnym placu. Wiele oczów zapalało nadzieją. Tylko stara Sygryd Tursdotter siedziała jak i przedtem ponura i smutna, opowiadając sny swoje.

— Biada temu, kto nie widząc na własne oczy księżniczki, cieszy się nadzieją! — mówiła. — Kiedy księżniczka ukaże się na brzegu lasu na koniu srebrnym kutym, kiedy jej korona z pereł zajaśnieje nad doliną, wtedy tylko my, włościanie pograniczni, możemy mieć jakąkolwiek nadzieję.

Zaledwie to powiedziała, gdy Karina Wüllüm i Walborg Toot wykrzyknęły:

— Matko Przenajświętsza zmiłuj się nad nami!

I wszyscy spojrzeli w stronę lasu. Z gęstwiny, jak z ciemnej pieczary, wychodziła droga. Wszyscy naprzemian wołali:

— Chodźcie! Patrzcie! Co to! Matko Boża, ratuj nas! Przysłońcie oczy ręką i patrzcie na leśną drogę! Zróbcie znak krzyża i patrzcie!

— Jak gdyby dziewica jedzie z wspaniałą świtą?
Czy wszyscy ją widzą?

Przerażeni, zdziczali ludzie krzyczeli, wyciągając ręce w kierunku lasu.

— Może to duch leśny? Czy to nie czary djabelskie? Czy wszyscy widzimy księżniczkę?

Padali na kolana, modlili się i śpiewali hymny. Niektórzy pobiegli na dzwonnice i zaczęli bić w dzwony, chcąc się upewnić, że piękna dziewica nie jest wiedźmą, która boi się dzwonów kościelnych.

Lecz kiedy stara Sygryd Tursdotter zobaczyła swemi orlemi oczyma, że z ciemnego lasu wyjeżdża dziewica na koniu, przestała już wątpić i zawołała pierwsza:

— Ach droga, kochana, słoneczko ty nasze! Kwiatuszku! Nie jesteś duchem, córką królewską. Dziękujcie i wychwalajcie Pana! Ach, przybyłaś wreszcie, najdroższa! Przyjeżdżasz do naszej doliny!

Sygryd Tursdotter, wywijając laską wysoko ponad głowę, ruszyła z ludem na spotkanie księżniczki.

— Droga, kochana, kwiatuszku, słoneczko ty nasze! — powtarzali za nią.

Kiedy już podeszli zupełnie blisko, zawołali:

— Najdroższe kochanie nasze! O jakże piękną jesteś! Jakże jaśniejesz w koronie swojej! Odrzuć zasłonę jedwabną! Pozwól, niech ci się dobrze przyjrzymy!

Tłocząc się naprzód, otoczyli wielkiego, czarnego konia, który w czerwonym czapraku, z powiewającym

pióropuszem na głowie i złotymi galonami wplecionymi w grzywę, stapał poważnie.

— Droga, kochana, — powtarzali. — Jakże posłusznym jest twój kary koń! Przyjechałaś nareszcie, kochana!

Za Margaretą jechało wielu dworzan wielkich i dam z jej kraju, lecz przed jej koniem szedł ubogi włościanin, trzymając w rękach złamaną włócznię i wołając bezustannie:

— Oto jedzie piękna dziewczica pokoju! Oto jedzie Margareta — Zwiastunka Pokoju!

I przejeżdżając wzdłuż granicy, księżniczka widziała, jak radość i ukojenie ogarniały lud cały. Gdzie tylko ją ujrzano, włościanie natychmiast zaczynali zaorywać ziemię, a włościanki rozcielały płótno, by je bieleło słońce. Zgłodniałe bydło wypędzano na pastwiska. Młode dziewczęta decydowały się znowu nałożyć pierścienie i bransolety. Hełmy i miecze chowano do skrzyń.

Wszędzie, gdzie przejeżdżała, na jej spotkanie z kwiatami w dłoniach wychodziły kobiety i dzieci. A z gęstwiny leśnej wybiegł stary, zdziczały węglarz, zaprosił ją do siebie i podał jej mrożone jagody.

Lecz nigdzie nie witano pięknej córki królewskiej z taką radością, jak we wsi Sturgord.

— Niech Bóg ci błogosławi! — wołano. — Niech Bóg błogosławi twej cudnej twarzyczce! Niech Bóg ci błogosławi, Zwiastunko Pokoju!

Podczas gdy zbliżano się do wsi, włościanie podbiegli do córki królewskiej i zdyszani, zaczęli jej

opowiadać o swych cierpieniach i mękach. Mówili o wszystkim, co wycierpieli w czasie długiej wojny.

Przybywszy nakoniec na trójkątny plac, Margareta ściągnęła lejce i zatrzymała swego rosnącego konia. Nigdy dotąd nie widziała podobnej nędzy. Spojrzała na pogorzelsko, rozgrabione domy, nieszczęśliwych ludzi i oczy jej napełniły się łzami.

Włoscianki jednak zaczęły całować jej ręce, mówiąc, że teraz z chwilą jej przyjazdu, nie będą się więcej smuciły. Teraz, gdy między niemi będzie dziewica pokoju, kres przyjdzie wszystkim cierpieniom.

— Nie myśl o nas, Zwiastunko Pokoju, — mówiły. — Nie płacz nad nieszczęściem naszym. Myśl o królu Magnusie, tym wielkim bohaterze, do którego będziesz należała. Uśmiechnij się doń łagodnie. Pogładź w myślach jego jasne, długie, jadvabiste włosy!

Ponieważ milczała ciągle i płakała, siedząc na koniu, wszyscy zaczęli ją pocieszać.

— Nie czas teraz na łzy, dziewczeczko! — wołano. — Patrz, oto rzeka. Na tamtym brzegu znajduje się Norwegja, a nieco wyżej bogata Kungachella z wieloma okrętami, gdzie czeka na ciebie oblubieniec. Niech Bóg ci błogosławi! O jakże ucieszy się Magnus w chwili, gdy będzie cię mógł ująć w ramiona!

— Patrz, dziewczeczko! Już na obydwóch brzegach rzeki wiedzą o twoim przyjeździe. Wszędzie zapalają powitalne ognie. Patrz, jak lud śpieszy nad rzekę. Posłuchaj, tam wznoszą już okrzyk: „Niech

żyje Zwiastunka Pokoju. Możesz rozróżnić słowa. Wyraźnie słycać je po wodzie.

Lecz Zwiastunka Pokoju była niepocieszona. Zatrzymała konia i wodziła smutnymi oczami po otaczających ją kobietach. Były w łachmanach, chore, zdziczałe, zupełnie nie robiące wrażenia istot ludzkich.

Podniosła wreszcie rękę na znak, że chce przemówić i wszyscy zamilkli.

Margareta — Zwiastunka Pokoju przemówiła na placu spalonej wsi Sturgord i słuchali jej wszyscy biedni, wszyscy znakomici panowie i damy jej świty.

— Chcę, byście zapamiętali wszyscy przysięgę, którą teraz złożę w obliczu Boga i świętych: „Póki usta moje nie zaniemówią, póki serce me bić nie przestanie, póty używać będę wszystkich sił moich na korzyść pokoju!”

Zamilkła, jakby rozumiejąc, że w przysiędze tej zawarte jest niebezpieczeństwo, zagrażające jej samej i dodała później: „Nawet za cenę mego szczęścia i życia”.

Kiedy córka królewska wypowiedziała słowa przysięgi, spojrzenie jej stało się weselsze i płakać przestała. Ruszyła z miejsca, kierując konia na drogę, która wiodła do brodu.

Na trawie przy drodze siedział mały pastuszek. Cieszył się, jak wszyscy i chciał jakkolwiek wyrazić swą radość. Zaśpiewał więc księżniczce miłosną piosenkę o królu dalekiej północy, który wzdychał do córki królewskiej ze wschodu.

Zwiastunka Pokoju znowu zatrzymała konia i słuchała pastuszka, który śpiewał cienkim, czystym głosem:

„Z powodu niej
Nie wiem, co to jest spokój w czasie długich nocy.
Z powodu niej
Znikła dawno wesołość moja.
Piękność Wschodu
Sama dowodzi wojskiem,
Wysmukła z oczyma czarnemi
Matylda, córka cesarza.
Niema większego szczęścia,
Jak życie z dobrą żoną.
A ja wszędzie i zawsze
Chodzę z moją tęsknotą.
Zawsze i wszędzie
Na jednym siodle ból ze mną siada.
Lecz wiem, że z tą królowną
Ożenić się nie mogę“.

Oto jaką zaśpiewał piosenkę. Wysłuchawszy jej do końca, księżniczka uśmiechnęła się do chłopca i zapytała, kto do niej ułożył słowa.

Nikt się nie domyślił, że nie należy dopuścić, by pastuszek odpowiedział. On zaś, dumny, że może mówić, zawołał:

— Piosnkę tą ułożył król Magnus na cześć Matyldy, córki cesarskiej!

O, jakaż rozpacz ogarnęła miłą księżniczkę!

— Król Magnus sam ułożył tę piosenkę! — zawołała. — Pocóż więc jadę do niego, jeżeli tęskni

za królowną ze wschodu? O mnie nie ułożył pieśni, która rozeszłaby się po całym kraju!

Biedni włościanie, jak piorunem rażeni, słyszeli, jak mówiła, zwracając się do swej święty:

— Ach, dworzanie kochani, dobre damy, odprowadźcie mnie z powrotem do domu! Zlitujcie się nade mną, wierni słudzy ojca mojego! Nie oddawajcie mnie królowi Magnusowi! Słyszeliście piosenkę? On nie o mnie myśli. Usycha z tęsknoty za jakąś piękną królowną!

W tej samej chwili usłyszała królowna, jak tłumy ludu, które stały wzdłuż drogi, oczekując jej przejazdu, wykrzyknęli donośnie:

— Niech żyje Zwiastunka Pokoju!

Sama zaś skarżyła się i prosiła dalej:

— Kochani dworzanie i szlachetne damy, odprowadźcie mnie do domu! Czy nie słyszeliście piosenki? Grzeszymy przeciw królowi! Nie chcę się narzucać na królowę! Pragnę tylko wrócić do domu!

Ludzie, stojący na brzegach rzeki, krzyczeli bez przerwy:

— Zwiastunka Pokoju! Zwiastunka Pokoju!

Wtedy księżniczka zacisnęła uszy rękami. Zawróciła konia i okrzykami popędzała go naprzód.

— Ach, niechaj lud zamilknie! — wołała. — Nazywają mnie Zwiastunką Pokoju, lecz pokój trwać będzie, nawet jeśli nie przyjadę! Król Magnus nie wypowie wojny z tego powodu. Ucieszy się tylko, że wracam do domu.

Tłoczący się przy drodze ludzie nie uspakajali

się i przyzywali swą Zwiastunkę Pokoju. Lecz ci, którzy stali bliżej, dziwili się i zapytywali:

— Gdzie ona jedzie? Gdzie jedzie?

Kiedy zaś zrozumieli, że pędzi w kierunku lasu, gwałtownie rzucili się za nią.

— Córko królewska, — wołali, — posłuchaj, co ci powie ta stara kobieta!

— Głowa trzęsie mi się ze starości, — powiedziała staruszka. — Czyż wojna ma mi teraz zabrać syna?

— Czy ty rozumiesz, córko królewska, — wołał tłum, — że w dolinie wszystkie drzwi będą znowu zamknięte? Znowu otworzą skrzynie ze zbroją! Włóścianin pług z ziemi wyciągnie! Dlaczego zatykasz uszy? Musisz słuchać, słuchać, słuchać!

— Zwiastunko Pokoju, — krzyczeli goniący ją ludzie, — nie zasługujesz na imię, które nosisz! Zwiastunko Pokoju, nie ośmielimy się zasiać naszych pól! Zwiastunko Pokoju, córki nasze nie będą mogły wyjść zamaż w tym roku! Zwiastunko Pokoju, gdy spalą nasze domy, stare kobiety wzniosą na zgłiszczach słup hańby, na którym wyrują twe imię! Zwiastunko Pokoju! Zwiastunko Pokoju!

Mieszkańcy Sturkordu pędzili tuż za nią. Wszyscy ci nieszczęśliwi zawadzili z jękiem:

— Zwiastunko Pokoju, przypomnij sobie o nas, kiedy zginiemy! Gdy uprowadzą nam bydło — przypomnij sobie o nas! Kiedy będziemy się mścili za nasze rodziny — przypomnij sobie o nas! Kiedy popełniać będziemy dzikie postęпки — przypomnij so-

bie o nas! Myśl o nas tak, jak my zawsze myśleć o tobie będziemy!

— Nie powinnaś wracać do domu! Nie powinnaś nas opuszczać! Przypomnij sobie, jaką niedawno złożyłaś przysięgę, krzywoprzysiężna! Czy słyszysz, jak lud cię wzywa z tamtego brzegu?

Ludzie ze Sturgordu tłoczyli się dokoła księżniczki i zagradzali jej drogę.

— Tylko poprzez nasze trupy wrócisz do domu! — wołali niektórzy.

A inni całowali tylko ręce księżniczki i prosili łagodnie, cicho:

— Zostań, nie opuszczaj nas!

Księżniczka widziała, że nie chcą jej zrobić krzywdy. Lecz biedny ten lud, wyczerpany wojną, nie wiedział, co ma począć. Kilka rąk chwyciło za uzdę konia, by go zawrócić z powrotem.

Księżniczka zatrzymała go sama, chociaż rozumiała doskonale, że może jechać dalej. Pośród tłumu znajdowało się kilku mieszkańców lasu oraz kilku wygnańców, którym przyrzekła swą opiekę. Jak szaleńcy wygrażali jej nożami, lecz w tejsze chwili całowali kraj jej szaty.

Podniosła i opuściła bicz z okrzykiem:

— Precz! Precz!

Ujrawszy to włościanie, odskoczyli od niej i jakby skamienieli z rozpacz. Widzieli, że sama pogrążona jest w wielkim bólu i nie chcieli żebrać o litość.

— Niech się stanie wola twoja, dziewczę! —
zawołali. — Drogo masz wolną!

Księżniczka siedziała bez ruchu, utkwivszy wzrok pełen tęsknoty w dalekie góry, pokryte lasem. Za nimi był dom rodzinny, gdzie chciała się schronić, jak zwierzę ranione, uciekający do legowiska. Długo patrzyła w ten sposób, a oczy pałały tak silnie, że łzy jej obeschły.

W milczeniu zawróciła konia i znowu zaczęła jechać w kierunku doliny.

Zawróciła z własnej woli, nie pod przymusem, z miłości tylko do tego wzniesłego pokoju.

Znowu jechała przez dolinę, lecz bez pośpiechu i wesołości.

Powoli przebyła pochyłość, wiodącą do Sturgordu i przejechała obok pogorzeliiska do rzeki i brodu.

Lud szedł za nią w milczeniu i szeptał, że nie należy jej niepokoić, że nikt nie powinien słać jej czynu.

Płynąc na starym promie, księżniczka zsiadła z konia i zaczęła patrzeć na wodę. Cichutko szeptała do siebie:

— Czy widzisz tę wielką rzekę? Jak wolno płynie do morza! Miękkie fale bez namysłu wpadają w jego silne objęcia, chociaż czasami wydaje im się strasznie i niebezpiecznie. Jeżeli rzeka napotka na swej drodze małą, spokojną, zarośniętą trzcina zatokę — i tam się nie zatrzyma. Gdyby kiedykolwiek zechciała wrócić do cichego strumyka w gęstwinie leśnej, skąd wzięła początek — nie może tego doko-

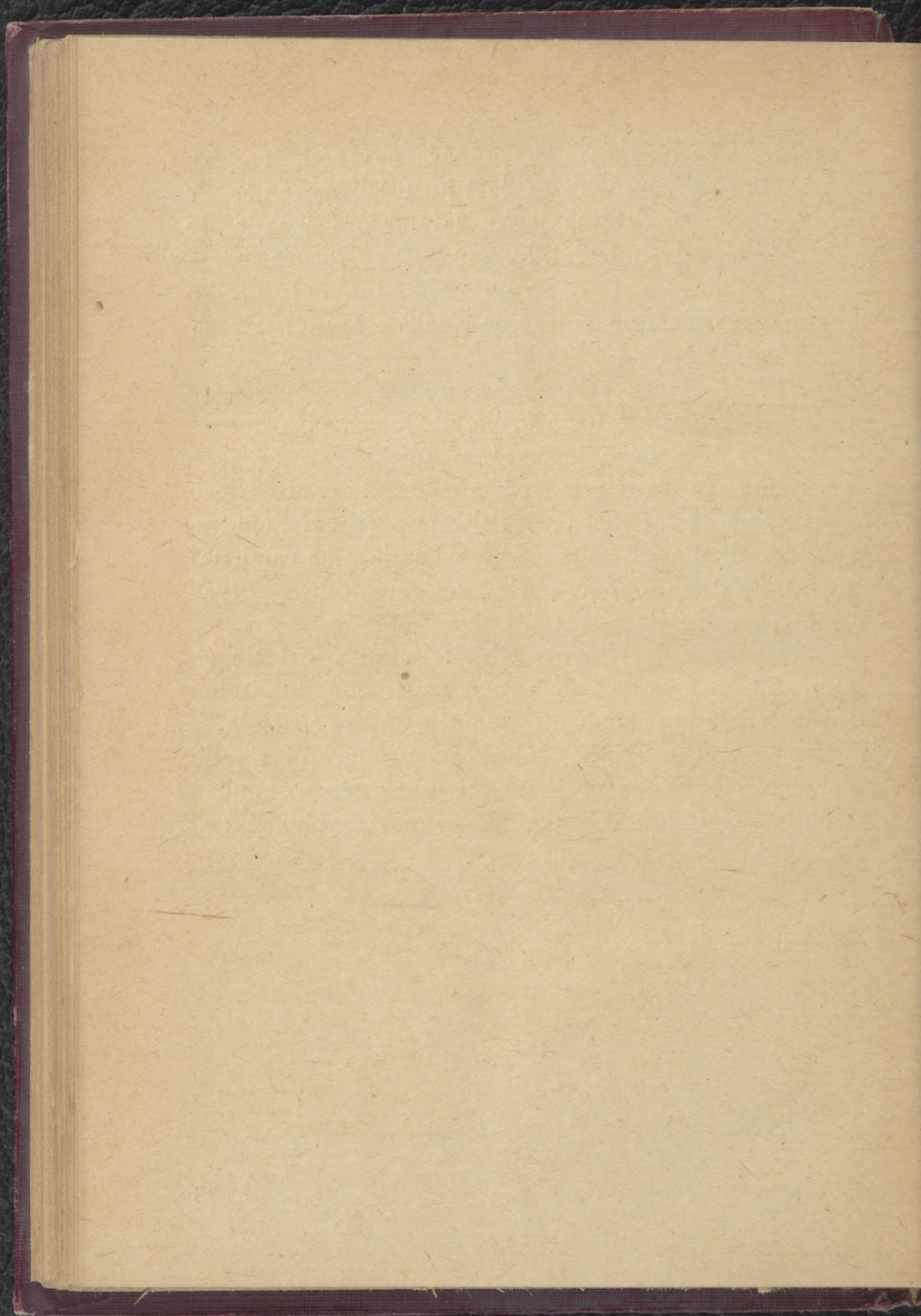
nać. Musi niezmiennie płynąć naprzód, zawsze naprzód. Takiem, widzisz jest jej przeznaczenie. Ty również musisz być maleńką falą, która wpada do morza niezgody ludzkiej, by zmniejszyć gorycz jego!

A tymczasem z Kungachelli przybyło kilku dumnych rycerzy i zatrzymało się z tamtej strony rzeki.

Niechaj teraz księżniczka podniesie spuszczone oczy! Niech spojrzy na króla Magnusa. Na hełmie lśni złoty lew, herb jego. Lew również — na jego sztandarze i czerwonym, jedwabnym płaszczu. Niech spojrzy na króla: sam on jest lwem północy! Popatrz, jak jego długie jedwabiste włosy opadają na ramiona! Popatrz na jego dumną postać, na pełen odwagi błysk oczów!

Oto pędzi galopem. Obłok kurzu unosi się za nim. Zbliża się. W półmroku zmierzchu długi cień jego kładzie się na pola. Cwałuje, aż drży ziemia.

Podnieść oczy, księżniczko, i uśmiechnij się do narzeczonego! Nie myśl więcej o tem, że wolałabyś rzucić się i umrzeć pod kopytami szybkonogiego rumaka!



KRÓLOWA Z WYSPY RAGNCHILDU

Król jechał konno ze wschodu wzdłuż rzeki Nordre, udając się do Kungachelli. Rok zbliżał się ku końcowi. Powietrze było ciężkie, a niebo szare, jak często bywa w tym czasie.

Ścieżka, którą jechał król, wiła się poprzez górzyste wybrzeże. Tu i tam z pośród zarośli wyłaniały się drzewa, a przy drodze było ich tak wiele, jak gdyby tłoczyły się przez ciekawość, by spojrzeć na jeźdźca. Wskakiwały nawet na drogę i królowi trudno było kierować koniem pomiędzy nimi.

Jesień była już tak dawno, że wszystkie liście opadły, a życie na polach zamarło. Ziemia pokryta była zwiędłymi, żółtymi liśćmi, które rozmokły w skutek długotrwałych deszczów jesiennych i tworzyły lepką powłokę, pod którą leżało mnóstwo pajaków i ślimaków, pogrążonych w śnie zimowym.

Wszystko było szare, mgliste, i król myślał:

— Nie świetna jak dla króla droga.

Niedaleko od błotnistej brzozy, omal że nie nad samą drogą, wznosiła się piękna góra Fontin.

Podnóże jej okalał pas jasno-żółtego piasku, wyżej — prostopadła, nie pokryta żadną roślinnością skała, a jeszcze wyżej, na małym skalnym zrębie rosła kępa szafirowo-zielonych sosen. Ponad sosnami góra wyźłobioną była przez małe przezroczyście potoki. Dalej widać było szeregi brzoź o białych pniach i czerwono-brązowych gałęziach i znowu piasek. A nad piaskami sterczała wspaniała, szeroka skalista ściana, pokryta ciemnym lasem iglastym, który rozrósł się gęsto na płaskim szczycie góry.

Król nie cieszył się zupełnie, że przejeżdża obok pięknej góry, gdyż tonęła cała w chmurach i mgłach, a ze szczelin i przepaści wznosiły się szare, wilgotne opary. I barwny wodospad wydawał się królowi równie szary, jak wszystko.

Westchnął ciężko, przejeżdżając obok drzew, które otrząsnęły na niego i jego konia mnóstwo wielkich kropel. Opanował go nagle smutek tak głęboki, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał.

— Tak zawsze ze mną bywa, — myślał. — Gdziekolwiek się udam — wszędzie deszcz i błoto. Jeśli jestem na morzu, mgła dokoła bywa tak gęsta, że własnej ręki zobaczyć nie można. Kiedy jadę konno w nocy — księżyc chowa się poza czarne chmury, by tylko nie świecić dla mnie. Jeśliby mi przyszło do głowy wybrać się do nieba — zgasłyby wszystkie gwiazdy, nim zdążyłbym tam się dostać.

— I tak jest ze wszystkim, co tylko rozpocznę — myślał dalej z goryczą, zaciskając pięści. — Inni, wstąpiwszy na tron, posiadli honory, zbytek, blask

oraz sławę, a ja jestem prawdziwym królem — pechowcem, któremu stale tworzą niepowodzenia. Niech tylko pomyślę o powstaniu — kraj cały słuchać mnie przestaje. Inaczej było za dawnych czasów, kiedy królowie mieszkali w Upsali i rządzili całym państwem. Panowanie było dla nich zapewne przyjemnem.

— A mnie widocznie taki już los Bóg przeznaczył, — dodał w myśli.

Jadnakże sam w to nie wierzył. Zatrzymał konia i zaczął się przysłuchiwać, czy nie świergoczą ptaki. Byłoby to znakiem, że się myli.

Lecz niebo było ołowiane, góra tonęła w mgłę, a ptaki się pochowały. Jedynym dźwiękiem, który można było usłyszeć na błotach, był cichy szmer kropel deszczowych, które tocząc się do końca gałęzi i nie mogąc się na nich dłużej utrzymać, ciężko spadały na ziemię.

Król jeszcze niżej opuścił głowę.

— Pragnąłbym ujrzeć coś jasno-czerwonego, — powiedział. — Chciałbym ujrzeć coś czarnego, jak smoła, z złocistym odcieniem, chciałbym usłyszeć dźwięczną pieśń i srebrzysty śmiech.

Spojrzał znowu dokoła, lecz nic się nie zmieniło. I zauważył, że nawet rzeka, o błyszczącej zazwyczaj powierzchni, płynąc między trzcinami, ciemniejszą była, niż noc.

Opanowało go takie przygnębienie, że wszystko co posiadał, wydało mu się wstrętnem, bezwarunkowem. O swym pięknym pałacu myślał, jak o nędznej

lepiance węglarza. Wszystkie jego zwycięstwa wydały mu się porażkami. Wszyscy wierni poddani — godnymi pogardy lub nędznymi żebrakami.

— Jednak z tem wszystkiem możnaby jeszcze walczyć, gdybym nie posiadał żony, — myślał. — Oto co jest najgorsze. I tak jest trudno żyć, a jeszcze muszę myśleć o kobiecie. Rządy zajmują mi tyle czasu, że nie mam wolnej chwili. A ludzie chcą, bym przyjął na siebie jeszcze jeden ciężar!

Bo trzeba wiedzieć, że król był ożeniony z córką króla norweskiego, księżniczką szlachezną i bogatą, lecz na nieszczęście zaślubiono ich, kiedy księżniczka była jeszcze dzieckiem.

Zrobiono to z obawy, by księżniczka nie dostała się komu innemu, lecz obecnie król sam chciałby się jej pozbyć.

Od dnia ślubu królowa mieszkała na małej, skalistej wysepce, Ragnchildzie, leżącej między ujściem rzeki Nordre i Kungachellą. Zbudowano tam wieżę kamienną, gdzie królowa mogłaby mieszkać zupełnie bezpiecznie aż do czasu dojścia do lat, kiedy król będzie ją mógł zabrać do siebie.

Lecz król przesiadywał ciągle w domu, w swem państwie i nie widywali się nigdy. Chociaż król wiedział, że już dorosła, chociaż przypominano mu, że czas już po nią pojechać — król nie mógł się zdecydować na przywiezienie jej do swego zamku.

Wymawiał się albo wojną, albo ciężkimi czasami i z roku na rok królowa pozostawała w szarej wieży

z kilkoma starami służebnymi i nie widziała nic, prócz szarej rzeki.

Teraz nareszcie jechał po królowę. Lecz w drodze myślał o niej, wpadł w taką rozpacz, że odłączył się od swej świty i jechał samotnie. Chciał bez świadków przezwyciężyć stan swojej duszy.

Wydostał się z zarośli i jechał przez szerokie pole. Gdyby to było latem — zobaczyłby tutaj wielkie stada krów i owiec, lecz teraz dokoła było pusto i widać było tylko wydeptaną ziemię i resztki objedzonych przez bydło traw. Król wspiał ostrogami konia i z największą szybkością pomknął przez pola, by sobie bardziej jeszcze nie zepsuć nastroju.

Król był człowiekiem mężnym. Gdyby córka królewska znajdowała się w niewoli i mieszkała w zaczarowanym pałacu pod strażą wielkoludów i smoków — pędziłby jak strzała, by ją oswobodzić. Lecz na nieszczęście faktem było to, że nie niepokojona przez nikogo, pozostawała w swej wieży i nikt na świecie nie przeszkadzał mu zabrać jej do siebie. Żałował gorzko, że się z nią ożenił.

— Wszystko co wielkie, piękne i dumne — nie dla mnie istnieje, — myślał. Przeznaczenie nie pozwala nawet, bym w walce zdobył sobie żonę.

Jechał coraz wolniej i wolniej, gdyż droga pięła się na stromą górę, z drugiej zaś strony pod górą zaczynała się już długa ulica Kungachelli.

Ze szczytu góry król widział dobrze wysepkę Ragnchild, gdzie mieszkała, czekając na niego, królowa.

Widział, jak ostro występowała wysepka na tle czarnej rzeki, widział torfowy wał, wznoszący się nad jałową glebą, widział szare mury kamiennej wieży. Całość wydała mu się okropną, odpychającą.

Nigdzie, ani źdźbła zielonej trawy, ani jaskrawego kwiatka.

Jesień, przechodząc przez kraj cały, dokładnie wykonała swą pracę.

A król pragnął czegoś jasno-czerwonego, lub granatowo-czarnego z złocistym odcieniem.

I zdawało mu się, że miejsce to zupełnie nie jest odpowiednie do szukania gry podobnych barw.

Im dłużej patrzył na wieżę, tem głębiej był przekonany, że zrosła się ze skałą. Wydało mu się niemożliwym, że została w zwykły sposób wzniesioną przez ludzi. Prawdopodobnie pewnego pięknego poranku, góra sama przez się zechciała wypuścić kielek. I w ten sam sposób, jak na ziemi zjawia się las i trawa — wyrosła również wieża. Zrozumiał teraz, dlaczego jest tak ciężką i odpychającą.

Kiedy pomyślał o swojej królowej, która tam wyrosła, zaczęło mu się wydawać, że musi być podobną do grubo ciosanej rzeźby kamiennej, którą widział nad portykiem kościoła. Nie mógł jej sobie wyobrazić inaczej, jak w postaci szarej figury z długą, nieruchomą twarzą, płaskim tułowiem o olbrzymich rękach i nogach, dwa razy dłuższych i szerszych, niż u zwykłych ludzi.

— Taki to już mój los, — pomyślał król i jechał dalej.

Był już tak blisko rzeki, że żołnierz, stojący na warcie, przyłożył do ust róg i otrąbił jego przybycie. Spuszczono wtedy most zwodzony i otworzyły się przed nim wrota szarej wieży.

Król podniósł głowę i na miejscu osadził konia.

— Jednakże jestem jeszcze królem, — powiedział, — i niema człowieka, któryby mi rozkazał postąpić wbrew mojej woli! Nikt na świecie nie zmusi mnie, bym się udał do tej kamiennej figury! Choć raz przecież mogę się czuć królem!

Mówiąc to, zawrócił konia i pomknął z powrotem po tej samej drodze. Popędzał konia, jak gdyby obawiał się pogoni i nie zwolnił biegu, aż póki nie dojechał do drzew za górą Fontin.

Królowa zmuszona było tak, jak i dawniej tęsknić i smucić się w szarej wieży. A jednak miała delikatne policzki, pąsowe usteczka, włosy czarne, jak skrzydła krucze, przewiązane złotą wstęgą, głosik dźwięczny, jak pieśń i śmiech srebrzysty.

Lecz co to obchodziło króla?

Odjechał wąską ścieżką. I jeżeli dokoła nie było mniej wilgotno i mokro, niż w chwili gdy tędy przejeżdżał — to w każdym razie nic nie zmieniło się na gorsze.



„Gazeta Warszawska Poranna”

założona w roku 1774

jest wielkim dziennikiem stołecznym, stojącym na gruncie narodowym i katolickim.

Specjalną uwagę poświęca zagadnieniom polityki międzynarodowej, polityki wewnętrznej polskiej oraz sprawom bytu finansowego i gospodarczego Polski. Oświeśla wszechstronnie ruch naukowy i literacki, referuje i ocenia zagadnienia teatru, muzyki, sztuk plastycznych, ma zapewniony współudział najwybitniejszych sił publicystycznych obozu narodowego.

Posiada własnych korespondentów w większych centrach świata.

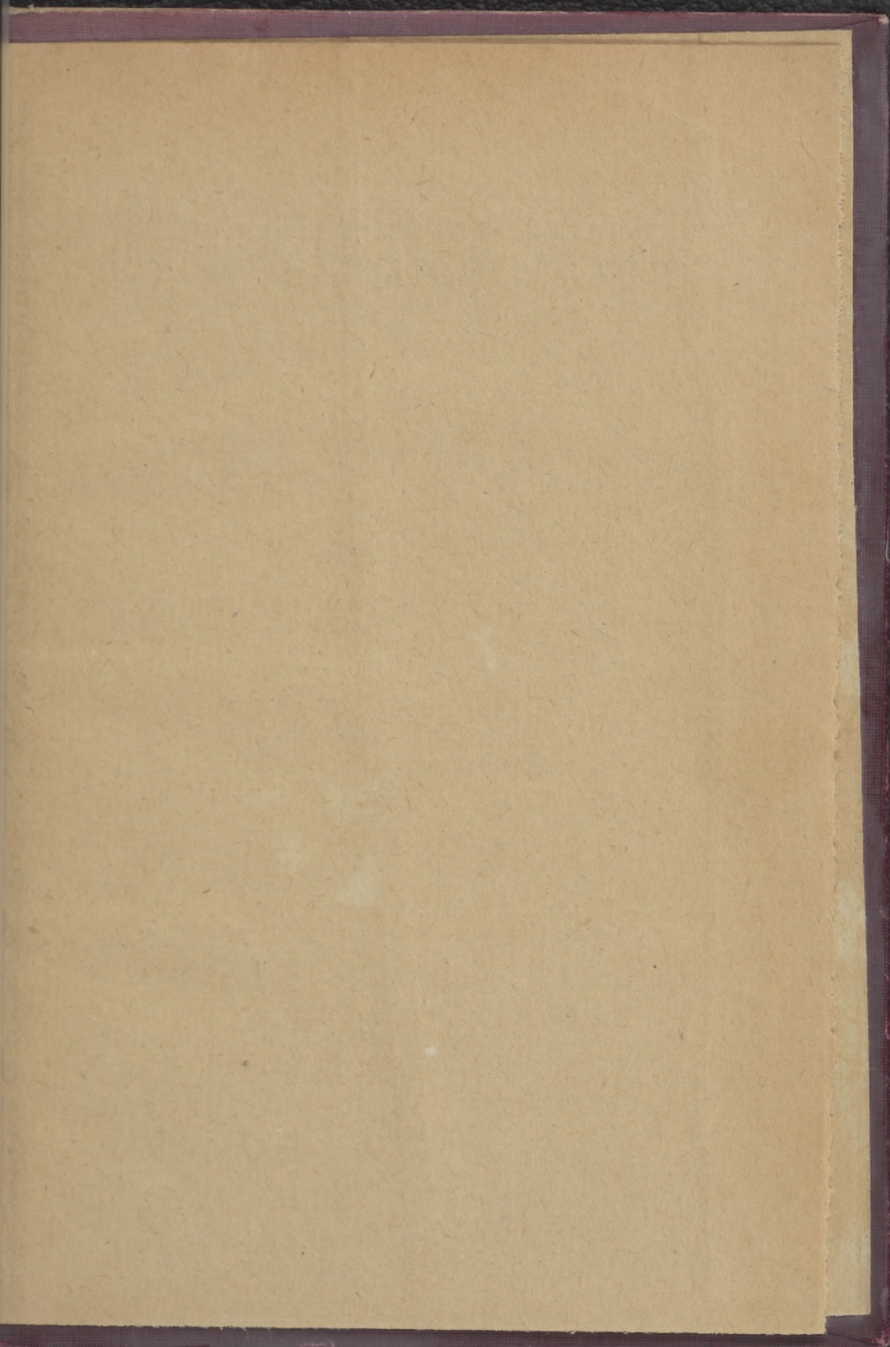
Ma korespondentów we wszystkich dzielnicach kraju.

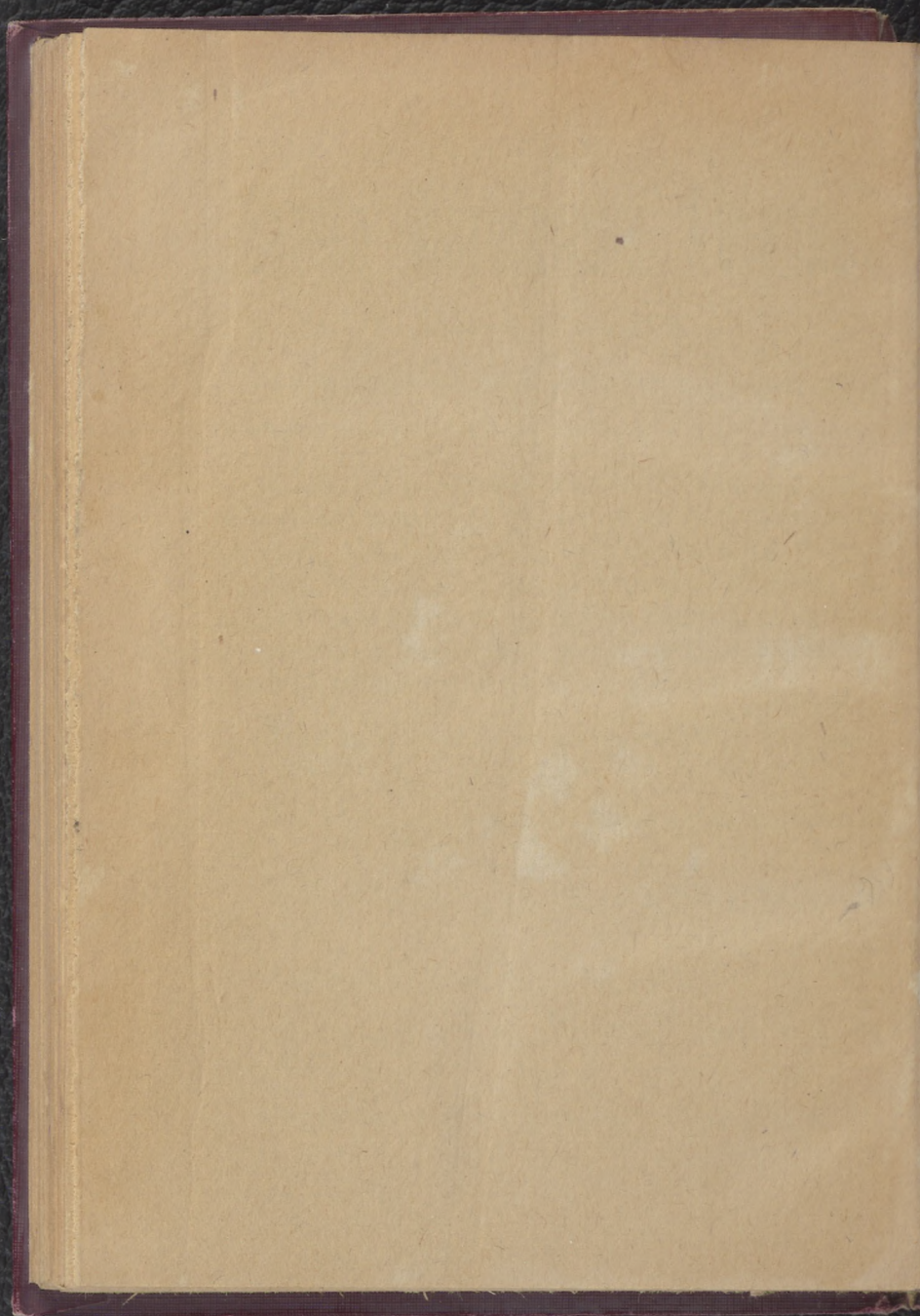
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Zgoda 5.

Tel. Red. 257-11. Tel. Adm. 26-58.

Skrzynka pocztowa Nr. 150; Konto czekowe w P. K. O. Nr. 104.

Czytajcie — Prenumerujcie — Ogłaszajcie się!





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001025892466

F. Trawczyńska
W-wa, 27.10.65 v.
20 n.



335684

